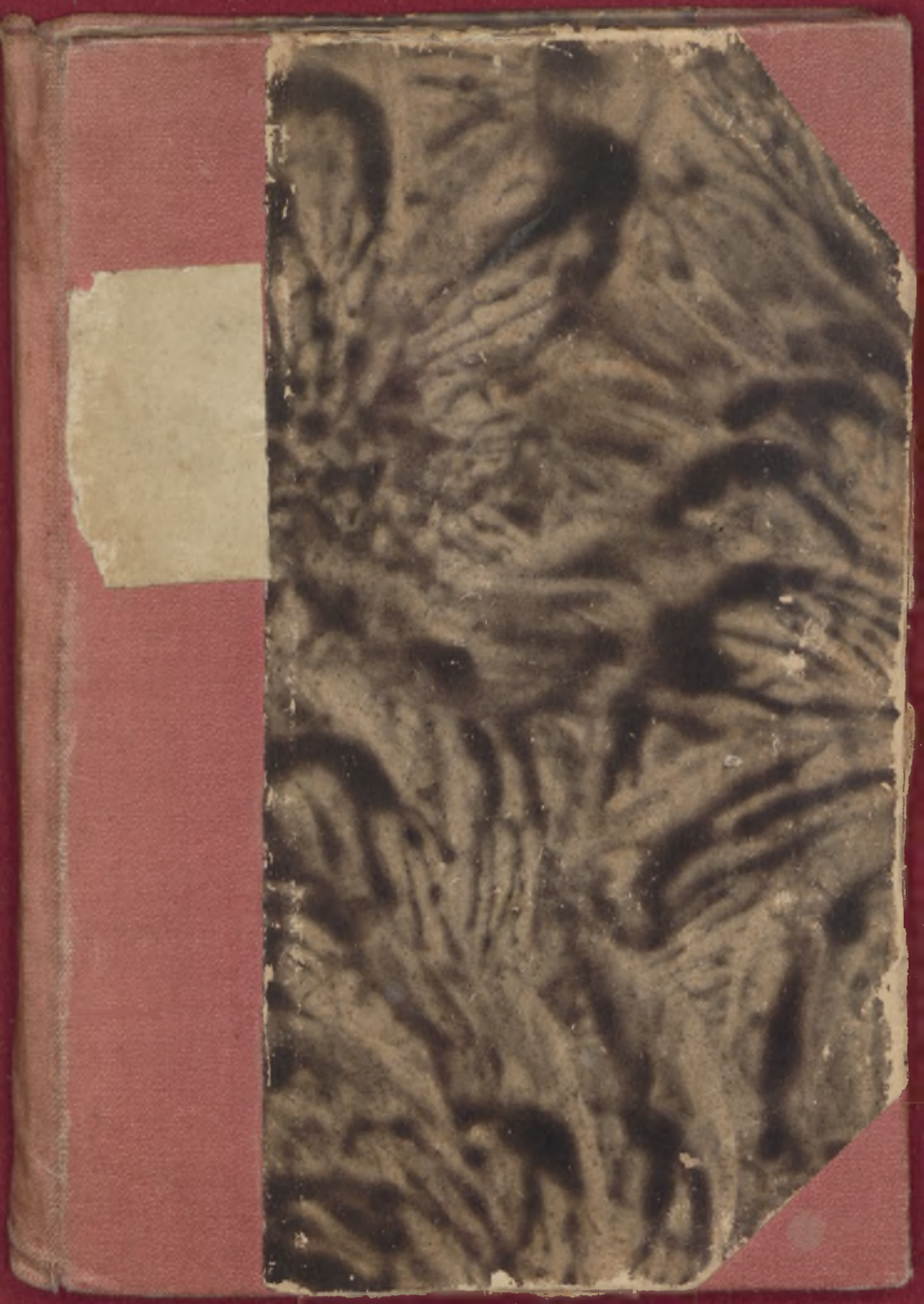

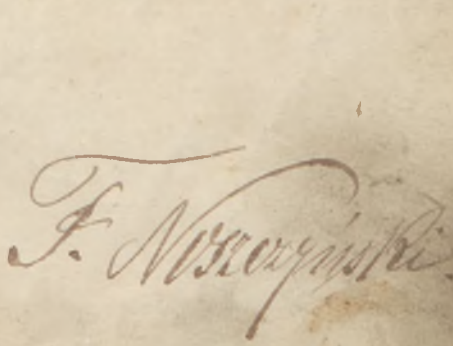

# JAN SOBIESKI

## KRÓL POLSKI

I

## OBROŃCA CHRZEŚCIJAŃSTWA.

---

Powieść historyczna z czasów odsieczy Wiednia.

**POZNAŃ.**
NAKŁADEM I CZCIONKAMI F. CHOCIESZYŃSKIEGO.
1883

149699

# I.

W komnacie, pąsowym adamaszkiem obitéj, siedział w dużym z poręczami krześle, nie pierwszéj młodości mężczyzna. Przed nim, na stole, tureckim kobiercem pokrytym, leżało mnóstwo rozrzuconych papierów, a dwie woskowe świece, w dużych, srebrnych lichtarzach osadzone, rzucały mdławe do koła światło, bo już od kwadransu zapomniano je objaśnić.

Poważna, niczem nie przerwana panowała tu cisza, i tylko głośny takt wahadła stalowego zegaru, powtarzał swoje jednotonne tyk... tak...

Na ścianach wisiało mnóztwo broni siecznej i palnéj rozmaitych narodów, a nawet łuki i strzały dzikich Indyan były pomiędzy niemi; klingi, pałasze, rękojeści jagatanów i kindżałów, świeciły rażącym połyskiem drogich kamieni, które z całą sztuką misternie osadzone, robiły miły pociąg dla oka.

Bo téż w owych, rycerskich czasach, gdy sam król polski pierwszym był bohatyrem w Europie, wszyscy panowie przesadzali się na to, aby mieć kosztowną broń i wojenne rynsztunki, które

za główne ozdoby poczytywali sobie. Dla tego przepych w tem, nawet do zbytku był posuwany, tak, iż niekiedy ogromne na to wykładano sumy.

Mężczyzna, siedzący w téj komnacie, miał przeszło pięćdziesiąt lat wieku, lecz z powierzchowności, zaledwo na czterdzieści wyglądał. Twarz ściągła, nos greckiego składu, pod którym kruczym połyskiem świeciły starannie umuskane wąsy, charakterystycznie odbijały od profilu wysokiego czoła. Dwoje ciemnych ócz, szeroką, czarną brwią ocienionych, rzucały jakiemś niezwykłym blaskiem, a w nich dopatrzeć było można różne namiętne żądze, jakie na dnie duszy spoczywały. Cała zaś majestatyczna postawa, średnia tusza ciała, i czerstwość malująca się na policzkach, oznaczały męża, pełnego zdrowia i energii.

Był to Andrzéj Morsztyn, wielki podskarbi, jeszcze za nieszczęśliwych rządów Korybuta, na ten urząd wyniesiony, a dziś osobisty nieprzyjaciel Sobieskiego i jego żony Maryi Kaźmiry.

Oddychał on ku nim ciągłą nienawiścią, do najwyższego stopnia posuniona tak dalece, że wszelkiemi sposobami chciał usunąć ich od tronu, na którym według jego przekonania komu innemu zasiąść należało.

W téj chwili, Morsztyn toczył przeważną walkę z swojemi myślami, bo jak z jednéj strony marzył o swym wyniesieniu się, tak z drugiéj widział wiszącą nad głową wielką burzę i surową zemstę króla dotknąć go mogącą.

Jednakże wielki podskarbi nie upadał na duchu i teraz właśnie pewniejszy był swojego

tryumfu, bo odebrana w dniu dzisiejszym tajemna korespondencya z wersalskiego dworu, kazała mu spodziewać się na pewno pomyślnego skutku. Dla tego też obok dumy, malującéj się na wyniosłym czole Morsztyna, widno było, jak z oczu migały mu dwie błyskawice, które dostatecznie malowały, jaka niepohamowana spoczywała w nim zemsta.

— Teraz ze szczytu potęgi strącę Sobieskiego — mówił w myśli do siebie, przeglądając na nowo list tajemnemi cyframi skréślony, — a dumna jego Marya Kaźmira, dopiero wtenczas ujrzy swoję nizkość, gdy pozbawioną będzie korony.

O! pozna, ale już zapóźno, jak niebezpieczna jest rozdraźnić lwa, który ma za sobą siłę i ostre pazury. Wysokie jéj marzenia znikną, jak bańki na wodzie, a ten, którego swą niełaską postanowiła ścigać, odpłaci się jej wzajemnie i to z lichwą jeszcze! Że hrabiemu Maligny odmówiłem ręki méj córki, miałem do tego słuszne powody, bo nienawidzę Sobieskiéj, równie, jak nienawidzę całego jéj rodu.

Ona swojemi intrygami zniszczyła całe moje nadzieje; podstępem wydarła koronę, którą ja miałem rozporządzić, a zatém podstęp za podstęp! Dochodzi już godzina zemsty, godzina mojego tryumfu a jéj poniżenia.

Tak z samym sobą rozmawiał w myśli wielki podskarbi, jego twarz raz niezwykłym rumieńcem, to znów bladością powleczona, świadczyła o we-

wnętrznéj walce, a razem o niewczesnéj dumie, jaka zagnieździła się w tak burzliwym umyśle.

Lekkie zakołatanie we drzwi, do komnaty prowadzące, zbudziło Morsztyna z tego sam na sam dumania; kilka listów przed nim na stole leżących ukrył pod kobierzec, i odwróciwszy głowę, zapytał się: kto tam?

— Ja jestem... — odezwał się cienki głos w francuzkim języku, a podskarbi szybko podniósł się z krzesła i z otwartemi rękami pobiegł naprzeciw wchodzącego gościa.

Nowo przybyły, był dosyć słusznego wzrostu, szczupły, ściągłych rysów twarzy, ciemnych włosów, a czarne połyskliwe, uśmiechające się oczy, zdradzały jego żywy temperament, który malował się w każdém poruszeniu. Zaraz z pierwszego rzutu można było poznać w nim układnego dworaka Ludwika XIV, a pełna uprzejmość, z jaką witał go podskarbi, przekonywała, że do wysokiego stopnia pragnął pozyskać jego względy.

— Kochany mój podskarbi — pierwszy przemówił margrabia de Vitri z wymuszoną nieco przesadą — przyszedłem donieść ci, że w téj chwili nader ważne otrzymałem wiadomości, wpływać mogące wiele na nasze widoki, i dla tego musimy wspólnie naradzić się, aby działać szybko i stanowczo.

— Słucham cię margrabio. — odrzekł nieco pomięszany Morsztyn.

— Oto wojska otomańskie ciągną już pod Wiedeń i wkrótce opanują całą Austryą, która w żadnym razie nie potrafi oprzeć się tak prze-

magającéj sile. Sobieski ujęty różnemi obietnicami Cesarza Leopolda, już podobno dał się uwieść, przyrzekając swą pomoc, a na sejmie zwołanym teraz, głównie starać się zamierza, aby Rzeczpospolita nie sprzeciwiała się temu. Plany te dotąd głęboką tajemnicą są pokryte, jednakże ja nie mylną mam wiadomość, iż tak jest, a nie inaczéj, i dla teraz podwoić trzeba starań, dla uzyskania silnéj opozycyi w senacie. Jeżeli zaś pomimo tego, król chciałby trwać w swém postanowieniu, w takiem wypadku należy usunąć go z tronu, na którym kto inny, sprzyjający naszym zamiarom, zasiąść potrafi.

Zdumiał się podskarbi na tę mowę, jednym tchem wymówioną, a po chwili namysłu, odrzekł do przebiegłego Francuza.

— Przecież większa połowa Senatu pójdzie za mojem zdaniem, a ja nie dozwolę, by nieść czynną pomoc Austryi. Wiesz dobrze margrabio, że oddany jestem duszą i ciałem dla wersalskiego domu, bo mam to wewnętrzne przekonanie, iż jedynie stosunki z Francyą, przynieść mogą Rzeczypospolitéj prawdziwą korzyść.

— Wiem kochany podskarbi o twoim poświęceniu się na wierne usługi mojego monarchy, który potrafi ocenić je, i nie zostawi nigdy bez nagrody; ale teraz w naglących okolicznościach, potrzeba koniecznie zapewnić sobie silną partyę, przeciw któréj wola Sobieskiego upaść powinna. Dla tego ja ułożyłem plan, mogący nam być najlepszym środkiem do dopięcia pożądanego celu,

zwłaszcza: że postanowiłem samą królowę z czynnym udziałem pozyskać na naszą stronę.

— Maryą Kaźmirę?... — z niedowierzaniem zapytał się podskarbi.

— Tak ją samą... — odrzekł margrabia, wpatrując się uważnie w zmienioną twarz Morsztyna.

— Na Boga, przecież ona jest główną nieprzyjaciółką moją, gotowa by mnie w jednéj chwili potępić, gdyby to mogło od niéj zależeć, i gdyby choć jaki wątek podejrzeń miała przeciw méj osobie.

— Bądź spokojnym przyjacielu, — mówił daléj Vitry z zupełną pewnością — mój plan tak zręcznie jest ułożony, że Marya Kaźmira duszą i ciałem popierać będzie naszą stronę, a jéj poparcie stanie się najsilniejszym bodźcem, i posłuży nam, że pod tą zasłoną wykonamy wszystko, co wykonać zamierzamy sobie.

— Zaprawdę nie mogę jeszcze pojąć cię, mój margrabio, bo chyba nie znasz dobrze przewrotności téj kobiety, jeżeli do mnie coś podobnego mówić możesz.

— Właśnie, że znam ją dokładnie. dla tego powziąłem myśl śmiałą, a zarazem szczęśliwą, która niezawodnie się uda, i zaraz odkryję ci wszystko.

Podskarbi przenikliwie spojrzał w oczy francuzowi, a nie mogąc nic przewrotnego wyczytać, odrzekł z pewném niedowierzaniem.

— Słucham cię margrabio, ale zawczasu uprzedzam, iż nie tak łatwo potrafisz mnie prze-

konać, bo nienawidzę Sobieskiéj, która obok chytrości posiada jeszcze do najwyższego stopnia przenikliwość; a że umie dokładnie prowadzić intrygi, okazała to najjawniéj, gdy potrafiła zyskać koronę komu innemu należną.

Otóż właśnie te wszystkie wady Maryi Kazimiry posłużą na naszą korzyść, bo użyjemy ją za narzędzie wykonawcze, a my potem zrobimy wszystko podług naszéj woli.

— Wszak nie tajno ci kochany podskarbi — mówił daléj Vitry zniżając głos, — że Sobieska jedynie wpływem księcia wojewody ruskiego, dziś kandydata wielkiéj koronnéj buławy, wyniosła swojego małżonka na tron, komu innemu zapewniony.

Wiadomo także nam obudwom, że królowa lubi księcia wojewodę, bo Sobieskiego wiek podeszły, ociężałość z zbytecznéj otyłości, i podagry, zatarły w pamięci Maryi Kaźmiry, ową dawniéj urodę celującą nad innych, dla tego też ona milszem okiem patrzy na owdowiałego teraz Jabłonowskiego, który już dawno potrafił jéj serce zniewolić dla siebie. Książe Stanisław, urodą swoją dziś jeszcze zagasić może młodszego wiekiem od siebie, a jego obejście się pełne dworskiéj i młodzieńczéj rześkości, mogłoby nie jednéj piękności zawrócić głowę.

— A co, czy zgadujesz już mój plan, z rozwagą pomyślany?

— Jest wszakże niebezpieczny... — odrzekł dosyć obojętnie podskarbi, bo książe będąc naj-

pierwszym przyjacielem Sobieskiego, wątpię, czy chciałby przyjąć podobną propozycyą.

— Znam ja lepiéj księcia Wojewodę, jest prawym człowiekiem, ale... on ma słabość zbytniéj dumy, która tak widocznie wasz naród od innych cechuje i wybacz mi szczerość, iż niejednemu stała się już przyczyną do zguby.

Morsztyn na te ostatnie słowa zmarszczył pochmurne brwi i czoło, ale margrabia udając, że nie rozumie tego, ciągnął daléj, nie dozwalając przerwać zaczętéj mowy.

— W tak słabe miejsca człowieka koniecznie należy trafić, bo duma i chęć pięcia się wysoko, przeważa, jak złoto, którego książe dosyć w swoich szkatułach posiada. On więcéj teraz obojętnym jest dla Sobieskiego, niżeli mógłby ten przypuszczać, co widząc ich razem, sądzi z pozoru o najściślejszéj przyjaźni. Jabłonowski dzisiaj żałuje, iż wpływu, którego użył na korzyść cenionego przez siebie bohatera, raczéj nie skierował ku swoim widokom, bo dawność rodu łatwo mogła posłużyć ku temu. Ale on myślał wówczas, że Sobieski jego ramieniem wyniesiony, pójdzie zawsze ślepo za tém, co mu wskaże, i dopiéro teraz poznał książe, jak te rachuby zawiodły.

Król wiekiem, słabością i niezgodami domowemi skołatany, teraz jedynie pragnie, aby potomstwu swemu zabezpieczyć koronę, dla tego chwyta się strony Austryi w mniemaniu, że dwór wiedeński stanie mu za najpewniejszą rękojmię. Ale gdyby wielki bohatér większym był dyplo-

matą, poznałby wtenczas, iż jego rachuby są jak bańki na wodzie, które w chwili pojawu bezpośrednio znikną. Austrya łudzi go obietnicami, bo teraz, kiedy ze wszystkiemi mocarstwami zerwała przymierza, pragnie kosztem Rzeczypospolitéj wynieść się nad innych. Widzą to wszyscy, widzi to Jabłonowski i dla tego zniechęciły go rządy Jana III.

— Nie przeczę, słuszne są rozumowania, ale jakże wykonać bez obawy ściągnięcia na siebie wielkiéj odpowiedzialności, a może i surowéj kary?

— Tu są pomysły... — dotykając palcem czoła, odrzekł przebiegły Ludwika XIV poseł. Ja wszystko wskażę, ułatwię, a od ciebie mój podskarbi tego tylko żądam, abyś pozyskał senatorów głosy. Wszak jest tylu ku Sobieskiemu niechętnych, których liczbę sama Marya Kaźmira pomnaża swą przedajnością, ona właściwie rozdaje wszystkie urzęda, a kto nie złoży łaraczu do jéj szkatuły, ten nigdzie nie zdoła nic zrobić. — Są więc powody, idzie tylko o opór i środki, a te łatwiéj znajdziemy, gdy tylko z wszelką przezornością weźmiemy się pilnie do dzieła. Wiesz przecież dobrze, jakie niezgody domowe zakłócają stadło królewskie, i że sam Sobieski nic przedsięwziąść nie może, na co jego małżonka nie da pozwolenia.

Letru i Fedorba, dwie z powiernic Maryi Kazimiry, będą aż nadto dostatecznemi dla nas działaczami, że przez nie wszystko dopiąć potrafimy.

— Tak, ale są to kobiety pełne złośliwości, do najwyższego stopnia przewrotne, a w ich ręce powierzać tajemnicę, byłoby to samo, jak puścić się w wątłéj łódce na rozhukane morze.

— Zostaw to mojemu rozsądkowi, kochany podskarbi, one muszą milczeć, bo ja mam aż nadto dostateczne ku temu sposoby. Sam Dajlerak, sekretarz królowéj, człowiek zdolny, przebiegły i czynny, będzie nam we wszystkiem pomocą, a za jego staraniem ułatwi się wiele rzeczy, które nie jeden mniéj świadomy osądziłby za niepodobne do wykonania. Złoto, mój podskarbi, jest najwymowniejszym środkiem przemawiającym do serca i duszy człowieka; sama królowa daje ten przykład swemu dworowi, dla czegóż więc ci, co niosą jéj swoje usługi, nie mają korzystać z nastręczającéj się sposobności?

— Nie przeczę ci margrabio, że złoto jest talizmanem, za pomocą którego wiele nadzwyczajnych rzeczy dokazać można — odrzekł z ciężkiém westchnieniem Morsztyn — ale tu idzie najwięcéj o mnie, abym lekkomyślnie nie narażał się na słuszny gniew, zawziętych mych nieprzyjaciół.

— Co do tego, raz jeszcze powtarzam, bądź spokojny mój przyjacielu; wciągnięcie królowéj do współudziału z nami, ja wyłącznie biorę na moją głowę, tak, że będziesz zupełnie obcy téj dworskiéj intrydze; weź tylko senatorów na siebie, a mój plan nieomylny skutek osiągnie. A teraz — ciągnął daléj margrabia słodziuchnym głosem, ujmując rękę podskarbiego — żegnam cię przyjacielu, bo godziny moje są policzone; gorące zaś

żelazo wtenczas kuć potrzeba, zaczem ono nie ostygnie!...

Już od kwadransu oddalił się Vitri, a jeszcze Morsztyn pasował się z swojemi myślami, nie wiedząc, co począć w tak trudnych okolicznościach.

To raz szybkim krokiem przechodził się po obszernéj komnacie, to znów stał zadumany przy oknie; w duszy jego wrzała śmiertelna walka, a to pasowanie się z samym sobą, widne były w całéj postawie. Niekiedy podniósł rękę do rozpalonego czoła, chcąc niejako poskromić cisnące się tam w nieładzie myśli; to znów wpadał jakby w letargiczne uśpienie.

Ale zemsta, ta niepohamowanéj siły żądza, rozniecila nowy płomień w sercu Morsztyna; widział teraz uosobistnione swoje widoki, i razem otwarte pole do poniżenia nienawistnéj mu królowéj.

— Stało się... rozważyłem wszystko... — mówi w myśli do siebie wielki podskarbi — Francuz zręczny plan ułożył, trzeba silnie chwycić się jego strony. Jeźli zaś zawiodą nadzieje, ja zawsze mogę być spokojnym o siebie, skoro sam Vitri, bez mojego wpływu, Maryą Kaźmirę do téj zmowy przyciągnie.

I nie zadługo potem, Morsztyn w szeroką delią okryty, wyszedł ostrożnie na ulicę; żelazne drzwi zamknął na klucz za sobą, i sam jeden dążył na Stare miasto, do mieszkania Kazimirza Sapiehy, kandydata buławy litewskiéj, po zmarłym niedawno Michale Pacu wakującéj.

## II.

Nad brzegiem Wisły stał porządny, drewniany dworzec, zaledwo od dwóch lat postawiony, a właścicielem był niejaki Bertrand, Francuz, należący do służby dworu Maryi Kazimiry. Człowiek ten, jak wielu innych jego ziomków, ciągle jedynie tem był zajęty, ażeby jakim bądź sposobem pomnożyć swoję fortunę, bez względu na środki, czy one są godziwe lub przeciwnie.

W tym to dworcu, umyślnie w ustroniu zbudowanym, często odbywały się różne schadzki głęboką tajemnicą pokryte, a żona Bertranda, również Francuzka, niegdyś pokojowa Maryi Kazimiry i do tego w równi przebiegła, umiała zręcznie wszystko osłaniać, za co z dwóch przeciwnych źródeł nieraz płynęło złoto, mające na przyszłość ich byt polepszyć.

Letru będąc najpoufniejszą powiernicą Maryi Kazimiry, wpływem swoim wiele mogła zrobić, ztąd ci wszyscy, którzy ubiegali się o względy królowéj, najczęściéj używali jéj pośrednictwa, a ono odnosiło pożądany skutek. Dla tego téż przebiegła służebnica królowéj, złączywszy się bliżéj

z żoną Bertranda, dawała nie jedno tajemne w jéj domu posłuchanie.

Było to tejże saméj nocy, w któréj widzieliśmy margrabiego de Vitri u Morsztyna, tylko w znacznie późniejszéj porze, bo zegar dawno już północ odmierzył.

W rzeczonym dworcu, ośm różnego rozmiaru pokoi obejmującym, głęboka panowała cisza; okiennice szczelnie pozamykane były, a wewnątrz jeszcze pozapuszczano kolorowe opony. Zdawało się, że wszystko w głębokim śnie już spoczywa, a jednak czuwano tu z wszelką bacznością.

W kilku pokojach paliły się woskowe świece, w srebrnych lichtarzach osadzone, a w jednym z tych pokoi siedzieli właściciele państwo Bertrand, prowadząc pomiędzy sobą następującą rozmowę.

— Zobaczysz Betti, że ty chciwością swoją popsujesz wszystko, a gdyby królowa kiedykolwiek dowiedziała się o czém, wtenczas nietylko, że straciłbym korzystną służbę, ale kto wie czy nie dostałbym się do turmy, może w dodatku zabrano by nam to, co naszą oszczędnością i zabiegami potrafiliśmy uzbierać sobie.

— Widzę, że jesteś zawsze bojaźliwy — odrzekła z uśmiechem czuła połowica, głaszcząc pulchną rączką, nieco zachmurzoną twarz męża: — wszak wtenczas drę łyka, kiedy się dadzą.

— Zobaczysz Betti, że tą zbyteczną chciwością kiedykolwiek mnie i sobie zgotujesz nieszczęście, a potém jak stracimy łaskę u Królowéj, skończy się wszystko, i każdy pogardzać nami będzie.

Oj Toms, Toms, ty zawsze dzieckiem jesteś, choć już z okładem liczysz sobie czterdzieści latek. Cóż nam to szkodzi, gdyby kiedyś ludzie pogardzali nami? — kto ma złoto wszędzie znajdzie dobry kawałek chleba. Oj ty, ty podejrzliwski, gotów byś może być zazdrosnym, bo już dawniéj kilka razy marszczyłeś się o to, że pan Dajlerak sekretarz Królowéj jejmości, zbyt często oddaje mi wizyty. A widzisz teraz, jak to dobrze mieć stósunki z sekretarzami, bo nie tylko że wszystko wiedzieć można, ale robią się piękne interesa majątkowe, i nasz kapitał codziennie zwiększamy. Inaczéj zaś była by bieda, mój Toms, nie mieszkałbyś w pięknym dworcu, jak jaki starosta, a przecież miléj ci patrzeć na ściany makatami i adamaszkiem obite, na srebrne naczynia, bogate sprzęty a przy tem zjeść smaczno, i codzień wypić buteleczkę dobrego węgrzyna.

— Wszystko to dobrze moja Betti, ale jednakże ty za nadto jesteś śmiałą, mięszasz się w takie rzeczy, na które mnie strach przejmuje. Sama Letrou, gdyby wiedziała że ją zdradzasz, nieomieszkałaby pierwsza potępić cię przed Królową.

— O zupełnie bądź o to spokojny, od jéj złośliwości, aż nadto ubezpieczona jestem. Mam w moim ręku takie przeciw niéj dowody, które w jednéj chwili zgubić by ją mogły.

— Bertrand, nad którym jego małżonka nieograniczoną posiadała władzę, z spokojnością dobroduszną wysłuchał téj mowy. Zdumiał się

widząc, że przebiegła jego połowica na wszystko ma środki ubezpieczające ją przeciw nieprzyjaciołom, ale po krótkiéj rozwadze — dodał.

— Jednakże, kochana moja Betti, gdyby się wydało, że mamy u siebie tajemną kryjówkę, dla podsłuchiwania innych, już byłoby dosyć na tém do zgotowania nam biedy.

— Ha! ha! ha! — roześmiała się głośno Betti, a potem klepiąc Tomsa po twarzy, — dodała z niejakim powabem zalotności: — ostro bierzesz mnie na indagacyą; ale nie troszcz się o to, bo wiedz, że Królowa jéjmość dobrze zna tę kryjówkę, i w niéj nieraz już miłościwa pani wysłuchiwała, gdy Dajlerak w przyległéj komnacie równe tajemne niby prowadził negocyacye z panami, ktorych Królowa ująć dla siebie poleciła.

Z jéj to nawet rozkazu, kazałam urządzić tę akustyczną zasadzkę, i ona wyłącznie tylko dla saméj Królowéj przeznaczoną być miała.

W téj chwili zapukano lekko w okiennicę, i Bertrand szybko pobiegł do sieni, by otworzyć drzwi przybywającéj osobie.

— Niezadługo ukazała się średniego wzrostu niewieścia postać, z czarną atłasową maską na twarzy. Osłoniona była obszernym, aksamitnym, ciemnego koloru szkockim pledem, a na ten widok pani Bertrand o mało że nie zemdlała, pewną będąc, że niegodziwie zdradziła ją Letrou.

To Królowa — szepnęła w myśli do siebie, i serce trwożliwie zakołotało w jéj piersiach.

Ale nie tracąc odwagi postąpiła bliżéj, a gdy osoba zamaskowana szepnęła jéj kilka słów do ucha, lekki uśmiech zadrgał na ustach pani Bertrand, która zbliżywszy się potém do swojego małżonka, przemówiła cichym głosem.

— Sama Królowa jejmość zaszczyciła nas swą osobą, pójdź więc mój Toms, oczekiwać w sieni margrabiego, a jak tylko przybędzie, wprowadź go, i zaraz powróć na to miejsce, zwracając dokładną baczność, aby kto niepotrzebny nie zakradł się tutaj.

Bertrand nie bardzo zadowolniony z tego poruczenia, jednakże ulegając tak wysokim rozkazom, wyszedł ostrożnie, a kiedy w pokojach została już tylko sama Betti, wtenczas zamaskowana dama zbliżywszy się do niéj, przemówiła udanym głosem.

— Sądziłam, że już zastanę tu margrabiego; jako Francuzowi i dworakowi, należało mieć więcéj względności dla płci naszéj, zwłaszcza, że mężczyzna nigdy nie powinien dawać uprzedzać się.... Czy nie słyszałaś co nowego o wielkim podskarbim, bo zapewne musi on teraz układać jakie nowe plany przy teraźniejszym sejmie, aby znów widokom swoim dać pole do obszernych intryg.

— O pan Morsztyn jest zbyt tajemniczy człowiek — odrzekła cichym głosem pani Bertrand — on nie powierza się nikomu, a listy, które pisuje za granicę, sam zawsze kreśli własnoręcznie, i podobno jakiemiś znakami, którychby nikt odgadnąć nie potrafił.

— Trzeba koniecznie ułowić w sidła tego ptaka, mającego złote piórka; — odrzekła zamaskowana dama — niech i on płaci haracz, zwłaszcza, że za dużo już wysłał złota do Paryża, gdzie podobno w okolicach Szampanii zamierza kupić ogromne dobra, aby na wszelki przypadek mieli w nich bezpieczne schronienie.

— Należy zatém i od niego dziesięcinę odebrać; a chcąc to pozyskać, trzeba koniecznie przejąć jego korespondencyą, z dworem wersalskim prowadzoną. Słuchaj więc Betti, pomyśl no o tem, wszak ty często domyślną jesteś i masz wiele przezorności, a za to piękna nagroda spotkać cię może....

Dalszą rozmowę przerwało przybycie nowéj osoby, a tą był margrabia de Vitri, poseł Ludwika XIV.

Francuz, jako układny dworak, zaczął z największą uniżonością, usprawiedliwiać, spóźnione swe przybycie, a kiedy ujrzał się, że jest sam jeden z zamaskowaną damą, dobył z za piersi zwinięty papier, mówiąc:

— W tem piśmie wszystko jest objęte, cały plan postępowaaia i warunki, jakie wzajem obowięzywać nas mają, proszę więc odczytać z uwagą.

Tajemnicza dama nie zdejmując maski przebiegła szybko papier, a zwracając go potém margrabiemu, odrzekła:

— Przystaję na wszystko i przyrzekam z méj strony wypełnić zobowiązania, ale jeden warunek kładę margrabio: że oprócz nas dwojga nikt

wiedzieć nie będzie, iż wiadoma tajemnica za mojém pośrednictwem załatwioną zostanie.

— Daję słowo honoru i zaręczam w imieniu mojego króla, że wszystko grobowém milczeniem pokryte będzie.

— Więc zgoda... ja nawzajem daję słowo, iż w zupełności spełnię wasze życzenia margrabio. Sam pan Dajlerak dziś może jeszcze doniesie wam osobiście o skutku, a jutro pewni jesteśmy, iż będziecie mogli udzielić swemu dworowi nieomylną wiadomość.

— Pani, wdzięczność mojego monarchy nie będzie mieć granic, bo gotując zgubę Rakuskiemu domowi, utwierdzi święte przymierze Francyi z Rzecząpospolitą. Potém dopiero dowiedzą się wszyscy, komu będą winni swą wdzięczność, a twe imie Pani zajaśnieje nieśmiertelnie w dziejach historyi obudwu narodów.

Zamaskowana dama nic nie odpowiedziała na tę ognistą przemowę, bo owa obietnica i mająca na nią spłynąć sława, nie zrobiły tego wrażenia, jakie sobie wnioskował margrabia; dla tego też przebiegły de Vitri przygotowany na wszystko, niebawem doręczył jéj tysiąc sztuk dukatów, które miał przy sobie w przygotowanych umyślnie rulonach.

Na tak rzeczywiście przemawiający dowód, dama w masce najuroczyściéj zapewniła posła, iż wszystko jak najzręczniéj wykona, a margrabia zupełnie zadowolniony z swéj tajemniczéj schadzki, wkrótce opuścił dworzec, aby następnie znow działać, stosownie jak mu okoliczności nakażą.

Po odejściu margrabiego, zamaskowana dama, zabierając się także do powrotu, ująwszy za rękę panią Bertrand, rzekła jéj na ucho:

— Dobranoc ci, kochana Betti, masz to dla ciebie za twoją usłużność... a teraz twój mąż musi odprowadzić mnie do zamku. Wiedzżesz, że Letrou musi być wdzięczną swoim przyjaciołom, chętnie dzieli się z niemi pozyskaną nagrodą.

Cisza niczem nieprzerwana zaległa znów w dworcu, pani Bertrand z uśmiechem na twarzy liczyła złoto, wyjęte z rulonów, a kiedy już nacieszyła się do woli tym ponętnym dla siebie widokiem, schowała je ostrożnie do małéj, okutéj szkatułki, ukrytéj w ścianie za obiciem i nucąc wesołą piosnkę, spokojnie oczekiwała powrotu małżonka.

## III.

W téj porze w stolicy, niezwykły ruch panował, albowiem zwołany sejm 27 Stycznia rozpocząć się mający, ściągnął wielką liczbę dygnitarzy Korony i Litwy, tak że w miesiąc wszystkie domy zajęte zostały, a gwar i nieustająca wrzawa, niemal cały dzień i noc zapełniały Warszawę.

Każdy z senatorów, oprócz niemałéj liczby dworzan, otoczony był znacznym pocztem rycerstwa, które nie tylko świadczyło o jego dostatkach, ale w razie widoków pańskich poskramniało nie jedne umysły, ułożonym planom przeciwne.

Sejm obecnie odbywać się mający, był nader ważnym dla wielu, bo oprócz osobistych widoków, nie jeden miał sprawę ogółu i Rzeczypospolitéj na celu. Wszędzie téż snuły się zbrojne tłumy, z chorągwią hetmanów, wojewodów, kasztelanów, biskupów, a każdy z tych junaków święcie utrzymywał stronę swego pana, lub téż obstawał za tym lub owym, a to stósownie do odebranych rozkazów. Kto tylko posiada jakie-

kolwiek zdolności, nieraz odgrywał tajemnie ważną rolę, bo albo sam przez się był sprężyną podniecającą innych dla widoków swego pryncypała, lub też sam działał na swoją rękę według, planów naprzód z rozwagą obliczonych. Z tego wynikły częste dziwne sprzeczności, i nieraz zdarzało się, iż rozmaite partye insynuacyą Królowéj kierowane, na drugi dzień przechodziły znów do jéj przeciwników i tak następnie w miarę, gdy korzystniejsze podawał warunki. Był to targ publiczny, w oczach wszystkich za godziwy zysk uchodzący, bez względu, jak z tego opłakane skutki w przyszłości na kraj spłynąć mogą.

Utworzyły się przez to dwie partye: jedna francuzka pod przewodnictwem margrabiego de Vitri, którą kierował głównie wielki podskarbi, Morsztyn, w duchu, aby zerwać stósunki z Austryą, a nadewszystko odmówić żądanéj przeciw Ottomanom pomocy. Do partyi téj przyłączyli się tajemnie najpierwsi dygnitarze, a że i sama królowa oświadczyła się za nią, była więc silną, ztąd wielu nierozważnie głosiło przedwczesne zwycięztwo. Druga zaś, mająca na czele króla i nuncyusza papiezkiego, Pallavicini, z całém nieomal duchowieństwem obrała sobie za godło, aby z zasady wspólnéj, chrześcijańskiéj miłości, nieść pomoc Austryi, zagrożonéj zewsząd niechybną zgubą. Powtarzano z ambon błogosławieństwa z Rzymu, słowa Chrystusa Pana, niosące pokój i zgodę, pośród wyznawców świętéj Zbawiciela wiary, w cichości zasiewały w sercach błogi owoc, a przytaczane braterstwo ludu, bez którego

w wielkiém społeczeństwie świata nic ostać się nie może, wiele działały w owych czasach na umysły, gdzie religia była zasadą, niemal w mleku z piersi matek wyssaną.

Dwa te stronnictwa, mające zupełnie różne i odmienne cele, każde działało skrycie, lecz silnie, aby wzajem jedno drugie pokonać mogło, i takiém przeciwnéj partyi poniżeniem, tryumf dla siebie pozyskać.

Był to właśnie ostatni wieczór poprzedzający otwarcie sejmu, to jest kończący się dzień 26. Stycznia 1683 r.

Na ulicy nie dosłyszałeś turkotu kół, bo wszędzie uwijały się sanie, wiozące mężnych dygnitarzy w różne strony miasta, a brzęk dzwonków nieomal głuszył przechodniów. Mnóztwo jechało lub szło piechotą na zamek, udając się wprost do króla, lub do komnat jego małżonki, a to w miarę, o ile jednemu z nich sprzyjali. Inni znów stósownie do obranego lub przez drugich wskazanego celu, spieszyli w rozmaite miejsca, gdzie sute obiady z azyatyckim przepychem, otwieraly dla nich złociste podwoje.

W domu przez posła Ludwika XIV zajmowanym, również dziś zebrała się potężna partya, ślepo dworowi francuzkiemu a razem Maryi Kazimirze oddana, mająca tworzyć w senacie silną przeciw królowi opozycyą.

Kiedy zebrani w kilku komnatach biesiadnicy, wznosili wzajem różne zdrowia przyrzekając sobie wspierać się w tém, aby skłonić króla do odstąpienia Austryi, złączenia się z Francyą

i z przymierzonemi z nią dworami, natenczas Vitri dawszy tajemny znak wielkiemu podskarbiemu, wyniósł się z nim do odosobnionego gabinetu.

Margrabia ująwszy rękę swego powiernika, przemówił z tryumfującém zadowoleniem, w rysach jego twarzy malującém się.

— A co przyjacielu, jakże sądzisz dzisiaj o wielowładnym moim wpływie? czyli wątpisz jeszcze, że nie przy nas wygrana?

— Plan twój margrabio, — odrzekł powolnie Morsztyn — obliczony jest z wszelką przezornością i rzekłbym, iż na pewno, gdyby...

— Przez zbytnią ostrożność, nauczyleś się być niedowierzającym... — przerwał mu szybko poseł — ale powiedzże mój podskarbi, czy choć na jednę chwilę można powątpiewać teraz, kiedy już doprowadziliśmy rzeczy tak daleko?

— Nie przeczę ci margrabio — ciągnął daléj powolnym głosem — że kiedy słysząc te oświadczenia, o których zapewniano cię przed chwilą, nie powinienem wątpić o pomyślnym skutku; przecież ja dopiero wtenczas przyznam zwycięztwo, skoro sejm zamknięty zostanie...

— Więc królowéj i księciu wojewodzie nie wierzysz, chociaż w tem własny ich obojga interes spoczywa?...

— Nie wierzę! — spokojnym głosem odrzekł Morsztyn.

— Ha, to już chyba w nic na świecie nie wierzysz, kiedy na takie dowody śmiesz powątpiewać jeszcze mój podskarbi...

— Wysłuchaj mnie margrabio, a potém dopiero osądzisz, — przerwał posłowi biegły polski dyplomata. Pierwszą, niewzruszoną wszystkiego podstawą, jest gruntowna znajomość ludzi, ich charakteru, skłonności, i nie zaledwie, że tak powiem sposobu myślenia. Ja lepiéj od ciebie margrabio znam moich ziomków, z któremi nieraz bliżéj łączyły mnie i łączą sprawy kraju; dla tego też długiém doświadczeniem nauczony, przywykłem nie wierzyć każdemu na słowo, bo to słowo zawiodło mnie już nie raz. Ty bierzesz rzeczy z prostego stanowiska, kombinujesz następstwa, które nieomylnie same z siebie wyniknąć powinny. Ale nie jest to walka z nieprzyjacielem, którego siły są widocznie nam wiadome, bo gdy jesteśmy pewni, że tam nie ukrywa się jaka zasadzka, łatwo przypuścić można wygraną. Ale może w téj saméj chwili, gdy my tu poufnie rozmawiamy z sobą, przeciwne stronnictwo jest już uwiadomione, jaka broń wyostrzona na nich? Tę zaś partyą składają ludzie, których nie łatwo liczbą naszych głosów przekonać, i tak przytłumić, że przeciw nam nie potrafią podnieść śmiałego i na wszystko gotowego czoła!

— A człowiek, którego wysłałeś, czyliż ten posiada zupełne twe zaufanie, kochany margrabio, i jesteśże pewny, iż nawet złoto ująć go nie potrafi?

— Tak, jestem pewny, jak samego siebie, dla tego też w przesłanym liście nie wachałem

się wyjawić mojemu monarsze cały plan tak zręcznie przez nas obydwóch ułożony.

— Na Boga! — cóżeś zrobił margrabio!... — z przerażeniem wymówił Morsztyn — a gdyby przyjęto tę korespondencyą, wtenczas zniesławiłbyś mnie i razem siebie! Mój list choćby dostał się w czyje ręce, nikt nie umiałby odgadnąć co zawiera, gdyż tylko sam Ludwik XIV posiada tajemniczy klucz tych cyfer; ale twojém pismem, jeźli wspomniałeś w nim wyraźnie o mnie, zgotowałbyś mi niechybną zgubę. Królowa ze wszystkiego potrafi oczyścić się, ciebie margrabio zasłoni, nietykalny charakter posła, ale ja czemże mógłbym zasłonić się? Ci wszyscy, którzy dziś trzymają mą stronę, natychmiast umyliby ręce, a sama Marya Kazimira byłaby pierwszą do potępienia mnie w obec całego narodu.

— Ha! ha! ha!.. wielki dyplomatyka, jakim ty jesteś mój podskarbi, nigdy nie powinien być tak bojaźliwym; przecież ja nie chciałbym cię skompromitować, ani też sam siebie, lub mojego monarchę. Dworzanin przezemnie wysłany, gotów raczéj śmierć ponieść, niż żeby miał oddać komu powierzone papiery. Bądź więc zupełnie spokojny kochany przyjacielu, a najdaléj za tydzień, obydwaj śmiać się będziemy z płonnéj obawy, która niewcześnie przejmuje cię dzisiaj. Wszystko tak skończyć się musi jak ułożyliśmy sobie, Austryą pognębiemy, oddamy ją w moc Ottomańskiej dziczy, a potém świat tryumf dla nas głosić będzie.

## IV.

U podnóża góry, na któréj wzniesiono klasztor panien Marcinkanek, stał odosobniony dworek, niemal w zupełném opuszczeniu. Dach zielonym mchem pokryty, przedstawiał to widocznie, i gdyby nie góra zasłaniająca go swojém ramieniem, już dawno byłby runął pod siłą wiatrów, które nieraz ponad brzegiem Wisły, piekielne zawodziły tańce.

Głęboka już noc zapadła, całe niebo pokryte było jedną czarną chmurą, a wicher piskliwemi tony dął przeraźliwie, pomiatając w różne strony dużemi płatami padającego śniegu. W téj ustroni miasta, panowała ponura, jakby przerażająca cisza, zbudzona jedynie poświstem wiatru, szumiącego po szklistéj powierzchni zamarzłéj rzeki, pędząc przed sobą tumany śniegu, który raz formował ogromne zaspy, to znów unosił je nad koryto Wisły, lub słał pod stopy góry, nad wyniosłym brzegiem panującéj.

W dworku tym, z dużéj sieni, izby i alkierza złożonym, palił się na ogromnym kominie

gościł uśmiech, bo już dawno był on obcym dla niego.

Mężczyzna ów atletycznéj postawy, ubrany był w kubraku siwemi barankami podbitym, biodra ściskał łosiowy pas na srebrną klamrę zapięty, z poza którego dopiéro co przed chwilą wyjął kordelas w jaszczór oprawny i zawiesił go na ścianie pomiędzy inną bronią. — Usiądźże mój Michasiu na ławie pod piecem, i ogrzej się, zaczém podam ci przyrządzoną wieczerzę, bo zapewneby nie na jedném zabrakło ci w drodze, a nikt téż tak smaczno i troskliwie nie przyrządzi ci potrawy, jak kiedy ja sama zgotuję.

— Dziękuję wam matko za troskliwość — odrzekł młodzian całując podaną mu rękę — wszakże ja od dawna nauczony już jestem znosić wszystko, aby tylko tobie kochana matko lepszy byt zapewnić.

— Drogie moje dziecię, jakże jesteś dobrym synem, niech cię za to Bóg błogosławi, i zsyła wszelkie pociechy w każdéj rzeczy co tylko zapragniesz. Wszakże ty jeden zostałeś mi na świecie, a w mojém sieroctwie i starości, jedynie tylko w tobie całe nadzieje spoczywają.

— Tak nadzieje — powtórzył młodzieniec z ciężkim westchnieniem, i dalsze słowa skonały mu na ustach.

— Synu mój, nigdy nie powątpiewaj o opatrzności Boga i pamiętaj to zawsze, że on czuwa nawet nad najmniejszym robaczkiem na ziemi!

Ileż to lat karmię się tą nadzieją, iż kiedyś lepszy los dla nas obojga zabłyśnie, a prze-

cież dotąd jeszcze nie nadchodzi ta pożądana godzina. Zawsze i ciągle zawistny los prześladuje mnie, a od śmierci króla Michała, położenie nasze w niczém polepszone nie zostało. Gdyby on był żył, jeszcze może zaświeciłaby gwiazda, ale z jego śmiercią przepadło wszystko podobno. Choć teraźniejszy król dobry, przystępny i prawdziwy wojownik, ale taki jak ja człowiek nie zagrzeje przy nim miejsca, bo nigdy nie chcę być narzędziem intryg, które Królowa ciągle prowadzi.

— Widzisz Michałku, że kto ma taki sposób myślenia, ten nigdy daleko nie zajdzie. I ty gdybyś umiał korzystać z losu, inna przyszłość zaświeciłaby dla ciebie, a kto wie z czasem może wysoko byłbyś się posunął, jednakże swą porywczością popsuleś wszystko.

— Nie matko, do tego nikt mnie nie nakłoni, abym intrygą doszedł znaczenia i majątku; wolę raczéj nędzę, niż dostatki za których nabycie mógłbym się kiedyś rumienić. Poczciwe serce i ręka niczem nie skalana, to są moje przewodniki, moje zasady, od jakich w całém mojém życiu ani na krok nie odstąpię. To byłaby podła nikczemność, a do tego ja nie czuję w sobie żadnego powołania. Wolałem raczéj stracić miejsce, zostać bez chleba, niż takim sposobem, dosłużyć się czegoś więcéj na świecie!

— Dziecię moje, ja bynajmniéj nie ganię ci tego, ale gdybyś miał większe doświadczenie, byłbyś inaczéj mógł poradzić sobie, i bez zdradzenia swojego dobroczyńcy.

— O matko, źle myślisz o mnie — szybko przerwał młodzieniec — kiedy tak mówisz; ja na jednem ramieniu nie noszę dwóch delii; skoro służyć, to tylko jednemu panu, ale wiernie i poczciwie. Własne sumienie, własne moje przekonanie, nie kazało mi tak czynić, i wolałem stracić miejsce, niż taką drogą wywyższyć się nad innych.

Młodzian westchnął, jakby miał ciężki kamień na sercu, a potém z widoczną w twarzy boleścią przemówił.

— Jak źle, że takie masz wyobrażenie; wiesz przecież dobrze, jaka czekać może zguba całe chrześciaństwo, bo pomnisz jeszcze, kiedy srogi bisurman wydarł mi z moich rąk twą siostrę, by ją potém zaprzedać może w ochydną niewolę.

— Maryo, drogie, kochane dziecię, Bóg tylko wie, co z tobą stać się mogło! Dwanaście lat ubiegło, i w tych dwunastu latach strumienie łez wylałam, a przecież nie odzyskałam mojego skarbu, który wydarła mi dzika horda Tatarów.

— To właśnie też spowodowało mnie do kroku, jaki uczyniłem, aby zemścić się nad niewierną dziczą i zgotować im wieczną zagładę. W ich krwi pławiąc mój oręż, pomszczę się hańby méj siostry, lub téż śmiercią walecznych legnę na polu chwały.

Niewiasta ocierając nabiegłe łzami oczy zwróciła się ku młodzieńcowi i składając bła-

galnie ręce, — odrzekła na wpół z płaczem do niego.

— I chciałbyś opuścić mnie zgrzybiałą matkę, abym dwie straty razem opłakiwać miała, wcześniejszy zgon przyspieszając sobie? Nie, ty nie uczynisz tego, ty mnie nie opuścisz... wszak prawda, drogi mój synu, ty kochane, a teraz jedyne me dziecię!

— Jakże matko, czy chcecie złamać dane mi słowo, gdy jedynie pod takim warunkiem, że i ja przeciw niewiernym walczyć będę, spełniłem czyn nikczemny, czyn zdrady... podstępu!... Nie, tego nie wymagajcie po mnie, bo to, co zrobiłem, uczyniłem raczéj z pobudki zemsty przeciw prześladowcom naszéj świętej wiary, niż dla innych jakich widoków. Nie chcę żadnéj nagrody, ani téż dla niéj dałem się powodować, pragnąłem tylko i pragnę, aby wojska ottomańskie znalazły śmierć i wieczną zagładę, a wtenczas dopiero nasycę mą zemstę! A Marya!... o, to niewinne dziécię, nie mógłem obronić jéj moją piersią; uwieźli ją w dzikie stepy, i dziś Bóg jeden tylko wie, co się stać z nią mogło. I ty matko, co wydarli ci własne dziecię, które tyle łzami opłakałaś, chcesz jeszcze tego, abym ja zniewieściale siedział w domu, wtenczas, kiedy inni pójdą szukać sławy i mścić się śmierci tylu swoich braci?

Matrona nic nie odrzekła na to, bo łzy i łkania nie dozwalały jéj mówić, serce nowém bólem odżyło, smutna przeszłość i minione wypadki, stanęły teraz w jéj wyobraźni, dla tego

młodzieniec, widząc podobne usposobienie, po małéj przerwie, tak daléj przemówił:

— Matko, oddaję wam te papiery, których nikczemnym sposobem stałem się właścicielem; ale że od tego zależeć ma zbawienie całego chrześciaństwa, oddaję je nienaruszone. Jednak sam nie doręczę ich, bo nie mógłbym ze śmiałem okiem powiedzieć, iż spełniłem czyn, którego własném sumieniem pochwalić nie mogę.

Jakkolwiek wierzę, że tak jest, a nie inaczéj, iż poseł francuzki, margrabia de Vitri, chce intrygą swoją zgotować chrześciaństwu i Rzeczypospolitéj zgubę, aby tém zadowolnić dumę swego władzcy, pragnącego poniżyć i wydać Austryą w ręce nieprzyjaciół; wszakże wiem to dobrze, że tajemnicę tę, mającą wszystko wyjaśnić, wydarłem czarnym podstępem człowiekowi, który zaszczycił mnie chwilowém zaufaniem, nie sądząc, jaką ułożyłem zdradę, a razem ściągnąłem nań wielką spotkać go mogącą odpowiedzialność. Sumienie moje dyktowało mi inaczéj, długo wahałem się, czy spełnić dane mi zlecenie, ale twoje, moja matko, łzy i prośby przemogły nademną, a bardziéj to, że nasycę mą zemstę, odpłacę za wydartą siostrę, która w cierpieniach dawno już może zakończyła życie. Wszakże położyłem nieodzowny warunek, iż pospieszę w bratnie szeregi aby pomnożyć liczbę walecznych. Od tego nie odstąpię, nikt wstrzymać mnie nie zdoła, żadna siła, bo mój honor i moje uczucia tak nakazują mi czynić!

A wydobywszy z zapiersi zapieczętowany pakiet papierów, złożył go w milczeniu na stole, gotując się do wyjścia.

— I gdzie chcesz pójść? znów mnie opuszczacz, kiedy zaledwo co wróciłeś z utrudzającéj drogi.

Michał nic nie odpowiedział, lecz okryty burką, opuścił mieszkanie, idąc wązką ścieżką wzdłuż koryta rzeki, ku klasztorowi Marcinkanek wiodącą.

## V.

Michał Odrowąż wyszedłszy z domu, szedł jakiś czas po nad stromym brzegiem Wisły, potém zakręcił na gnojową górę i minąwszy różne drewniane domy, wbiegł prosto na jezuicką ulicę.

Jego serce gwałtownie biło, gdy spojrzał na zczerniałe mury, w których tyle lat młodego wieku przepędził, w nich niejednę godzinę gorzko przecierpiał, a wspomnienie tego niemal na dnie swéj duszy miał wyryte. Niezadługo stanął przed głównem wejściem do obszernego gmachu wielebnych Ojców Zgromadzenia Jezusowego i jeszcze wahał się przez chwilę, ażali tam ma wejść, lub wrócić się napowrót. Jednakże inne wiodące uczucia przemogły w Michale albowiem w murach tych żył człowiek, dla którego w sercu młodzieńca tliło przywiązanie i wdzięczność, a iskra ta od lat dziecinnych żywiona, wyrodziła się w sympatyczny pociąg, niemal w drugie prawo natury.

Kapłan tego zakonu, z którym się zaraz poznamy, był przewodnikiem młodzieńczych lat Michała, a dobrocią i ujmującém swojém obej-

ściem, potrafił w nim zaszczepić ku sobie ufność i największy szacunek, nie dający się wygładzić z umysłu. On to pierwsze młodociane jego kroki prowadził, uczył zasad religii, miłości bliźniego, a swym niezwykłym darem wymowy i łagodnością, umiał w dziecinne serce zaszczepić przywiązanie, ufność i wiarę. Nigdy on nie obchodził się z surowością, owszem przez łagodne niekiedy pobłażenie młodzieńczym pustotom, zwolna kształcił to dziecię, które wziął wyłącznie na swe wychowanie.

Ojciec Anzelm umiał zjednać sobie u całego zakonu powagą przez naukę, pobożność, życie cnotliwe i ascetyczne.. Sama powierzchowność jego była pociągającą, bo w rysach jego twarzy jedynie dobroć serca malujących, każdy łatwo mógł wyczytać, że on prawdziwym jest posłannikiem Zbawiciela, a miłowanie bliźnich i przebaczanie im winy, odznaczało się na jego pogodném czole, w spojrzeniu, w mowie, zgoła w każdym ruchu i całém obejściu. Nie dziw więc żaden, iż człowiek taki młodociane serce dziecka wyłącznéj jego opiece powierzonego, zupełnie pozyskał dla siebie, obudziwszy w niem to synowskie przywiązanie, jakie nigdy zatrzeć nie można. Michaj też kochał go, jak ojca, bo on rzeczywiście był mu drugim rodzicem, i z całém poświęceniem oddał się wychowaniu swego pupila.

Cela ojca Anzelma, była razem wspólném mieszkaniem jego wychowańca, a mały wówczas Michaś, niemal na krok nigdy go nie odstępował. On co dzień usługiwał mu przy mszy świętéj,

spełniał drobne posługi jedynie z własnego popędu i natchnienia; wzamian zaś dobry zakonnik, pieszczotami i łagodnem obejściem nagradzał mu to wszystko, a mały chłopczyna coraz więcéj przywiązywał się do swojego opiekuna. Wrażenia młodości silniejsze są nad wszystko, one wpojone w serca, przetrwają w niem wiernie, bo dziecko nie zna obłudy, szczerze kocha swojego dobroczyńcę, a to uczucie w zarodzie życia poczęte, rozwija się stopniowo, i przechodzi w trwałe, niezłomne przywiązanie. Toż samo też miało miejsce i z młodym Michałkiem. Dziś gdy już był dorosłym mężczyzną, w niczém nie zmienił się dla swojego opiekuna, i w obronie jego, gotów był nawet życie swoje poświęcić. Nie miał względem niego żadnych skrytości, ani tajemnic, owszem we wszystkiem udawał się poufnie, bo widział i przekonany był w duszy, że lepiéj i z większą szczerością rodzony ojciec nie mógłby mu radzić.

Istniał więc między niemi ten sympatyczny związek, wzajemny ku sobie pociąg, który jest drugą w życiu człowieka potrzebą. I za prawdę Michał Odrowąż, winien był wielką poczciwemu zakonnikowi wdzięczność, bo on nie tylko, że serce jego ukształcił, umysł wszelkiemi jakie posiadał wiadomościami wzbogacił, ale nad to nie narzucał mu w życiu przyszłego zawodu, który własnéj, dojrzalszéj rozwadze wyłącznie przy nim zostawił.

Odrowąż znając każdy najmniejszy zakątek klasztorny, przebiegł szybko ciemne, długie ko-

rytarze, i niebawem stanął u drzwi celi, przez ojca Anzelma zajmowanéj.

Z tajemną obawą lekko zapukał, bo żegnając przed kilku dniami swego opiekuna, zostawił go złożonego słabością, a obawa tem więcéj wzmagała się teraz, gdy z wewnątrz słaby głos odpowiedział: proszę wejść.

Skrzypnęły drzwi skromnéj celi, w któréj błyszczała lampka olejem nalana, rzucająca mdłe po gołych ścianach światło. Na łożu leżał schorzały zakonnik, a jego wzrok zajaśniał w téj chwili żywszym blaskiem i zachmurzone rozpogodziło się czoło. Odrowąż na podanéj mu ręce złożył gorący pocałunek i ze łzą w oczach przemówił:

— Sądziłem, że was, czcigodny ojcze, w lepszém zdrowiu zastanę....

— Synu kochany, już brzemię lat przyciska mnie, i dosyć już nażyłem się na świecie. Że zaś nikomu nie zrobiłem nic złego, więc w każdéj chwili przygotowany jestem na zakończenie téj ziemskiéj pielgrzymki, jeźli Bóg rozporządził powołać mnie do siebie. Cieszę się z tego, iż przynajmniéj ujrzałem cię jeszcze, abym mógł objawić ci ostatnią mą wolę i wszystko wypowiedzieć, co miałem na sercu. Za to niech będą dzięki Bogu, że wysłuchał moich gorących a niedogodnych modłów, teraz nie będzie mi już tak przykro umierać.

A gdy młodzieniec rozczulony taką mową, począł rzewne łzy ronić, wzruszony tem przywiązaniem, kapłan, rzekł daléj łagodnie:

— Uspokój się mój synu, nie rób mi téj boleści, abym w ostatnich godzinach miał żałować, iż schodzę ze świata. Wszak zawsze uczyłem się tego, że tu doczesność tylko, a tam na innym świecie wieczność nie mająca końca. Jesteś już dorosłym mężczyzną, wychowałem cię w bojaźni Bożéj i miłości dla bliźnich, ukształciłem twój umysł, wpoiwszy w niego te wszystkie wiadomości, jakie przez ciąg mojego życia nabyłem, a w serce twoje zaszczepiłem zasady, za które przed światem i Bogiem nigdy się wstydzić nie będziesz. Masz rozum, poznanie rzeczy, tylko brak ci doświadczenia, ale nie zbłądzisz w świecie, jeżeli wszędzie, zawsze w każdéj rzeczy prostą pójdziesz drogą. Religia stanie ci za tarczę we wszystkich przeciwnościach osłaniającą; w niéj znajdziesz balsam na rany, jakie ci w życiu twojém zadać mogą nieprzyjaciele, lub ludzie złośliwi. Za pomocą zaś rozumu i serca kierować będziesz swemi kroki, a z temi przewodnikami nie zbłądzisz na świecie doczesnego żywota.

— Ojcze mój, ty zawsze byłeś mi dotąd radą i pomocą, do ciebie uciekałem się w każdém zdarzeniu, a teraz niestety, cóż pozostanie mi na świecie?

— Masz matkę, moje dziecko, dla niéj poświęć swoje przywiązanie, a tém odpłacisz jéj za trudy, jakich ona nie szczędziła w twém niemowlęctwie. Jesteś młodym, ukształconym, świat otworem stoi przed tobą i wspomnisz moje słowo, że na niem źle ci nie będzie, skoro z wszelkiém

poświęceniem się zechcesz pracować! Dotąd nie obrałeś sobie dalszego zawodu, ja nie narzucałem ci nigdy, ani narzucam stanu, do którego nie czujesz w sobie powołania. Zostawiłem ci w tem zupełną wolność, a dziś, kiedy masz dojrzały już rozum, od ciebie samego zależy wybór; znam to dobrze, że człowiek przeciw swym skłonnościom iść nie powinien, zwłaszcza tam, gdzieby mógł żałować później tego kroku. Abyś poznał dworskie życie, umieściłem cię na dworze podskarbiego koronnego pana Morsztyna, a potém, iżbyś za jego protekcyą dosłużył się czegoś na świecie. Usunąłeś się ztamtąd dla przyczyn, które nie zgadzały się z twoim prawym sposobem myślenia; tego kroku nie zganiłem ci, skoro wszystko wyznałeś mi, bo prawość w człowieku, również z tobą za najpierwszą cnotę uważam. Później oświadczyłeś mi, iż życzysz sobie wejść w zawód wojskowy; i temu nie byłem przeciwny, bo człowiek w każdym stanie zarówno szczęśliwy być może, gdy tylko uczyni zadość przyjętym obowiązkom. Każdy winien służyć swemu krajowi, nieść pomoc nawet z ofiarą własnego życia, gdzie idzie o dobrą sprawę, o los naszych braci, bliźnich. Teraz właśnie mieć będziesz pole ku temu, pójdziesz z innymi pod Wiedeń, by wybawić zagrożone chrześcijaństwo i zniszczyć dumę półksiężyca. I ja znam przecie co to wojna, bo będąc dawniéj kapelanem wielkiego hetmana Chodkiewicza, patrzyłem z blizka na bisurmańskie hordy pod Chocimem, które ogromnemi, zastępy chciały zgnieść naszą garstkę,

w Bogu jedynie pokładającą nadzieję. A ileż to niemal cudów dokazywało nasze wojsko? Począwszy od Batorego, oręż polski ciągle był postrachem dla Turków i Tatarów. Ów zaś nieulękły Chodkiewicz, postrach bisurmańskiéj dziczy, z garstką znękanych żołnierzy, krociom dyktował pokój, orężowi polskiemu przynoszący sławę. I dziwnéj odwagi Stefan Czarnecki z biednego zagonowego szlachcica, dosłużył się najwyższych dostojeństw i buławy, złamawszy potęgę Szweda, co prawa nam chciał dyktować i osięgnąć tron Piastów. Ale pocóż sięgać nam dawniejszych epok. Król teraźniejszy najlepszym jest obrazem, co może sarmacka odwaga. Szczęśliwie wygrane bitwy pod Słobodyszczem, Podhajcami, Kałuszą i Chocimem zawiodły go na stopnie tronu i zasiadł na nim, by sławę Polski rozszerzyć! Michale, pod takim królem, odwagą nabędziesz prawa do zasług, które on pewnie nagrodzi. Razem z innymi pod Wiedniem okryjesz się sławą, a ten Bóg, co zawsze opiekuje się naszą ziemią, przyda jeden laur więcéj jeszcze, do tylu zdumiewających zwycięztw.

Oko młodzieńca pałało niezwykłym ogniem, słuchał z największym zajęciem wyliczone mu zwycięztwa, a gdy schorzały kapłan umilkł dla odpoczynku, Odrowąż nieznacznie otarłszy dwie łzy biegnące mu z oczu, odrzekł z uniesieniem:

— Kapłanie, drugi mój ojcze na téj ziemi, ja czuję w sobie ten rodzinny zapał, patrz, jak w piersiach silnie uderza me sercę, bo wojenna przodków sława, całą mą duszę zajmuje. Czuję,

że krew wre w moich żyłach, tym samym ogniem jaki ogrzewał wyliczonych mi wodzów, i własném męztwem chciałbym również przyłożyć się do tylu walecznych czynów! A jeźli zginę, to legnę wśród mężnych braci, złożę me kości w mogile, która kiedyś świadczyć będzie potomnym, żeśmy pierwsi szli w pomoc zagrożonemu chrześcijaństwu!

— Podaj mi rękę Michale, niech ją uściśnie zgrzybiały starzec, w piersiach którego również wrzała kiedyś podobna chęć do wojennéj sławy. Ale nie miałem przewodnika, byli ludzie, którzy ostudzili we mnie ten zapał, a ja za błędy mych przodków, zamknąłem się w murach zakonu, by dla nich odpuszczenie wyprosić u Boga. Jednak i w tym zawodzie spełniłem moje posłannictwo, wielki obowiązek kapłana, apostoła wiary Chrystusa. Nigdy kretemi nie szedłem ścieszkami, wpływu mojego nie kierowałem do żadnych widoków.

Na te słowa konwulsyjnie zadrżał młodzieniec, łzy oblały mu lica, głowę zwiesił na piersi, i twarz obiema dłońmi zasłonił. Spostrzegłszy to kapłan, ujął go za ręce, i wlepiając przenikliwe spojrzenie zapytał z dobrocią.

— Dla czegoż taka rozpacz maluje się na tobie, moje dziecię? widzę, że masz w sercu jakąś tajemnicę. Mów śmiało, powierz mi swe cierpienia, tak jak wszystko powierzałeś mi zawsze.

— Bo w téj chwili, uczułem całą okropność niegodnego postępku, — odrzekł wśród

łkania Odrowąż, — który nie z méj woli, lecz z rozkazu innych spełniłem!

— Wszak dane ci zlecenie, wykonałeś z mą wiedzą i zezwoleniem: sumienie więc twoje nie zostało splamionem. Lubo do wykonania zlecony ci środek nie był godziwym, wszakże nie mógłeś innym sposobem osiągnąć tych depeszy, chyba popełniając morderstwo na człowieku, który w życiu swojém nigdy nic nie zawinił tobie. Chodziło tu o sprawę milionów ludzi, o środek, za którego pomocą możnaby pokonać przeciwną stronę, ciągle nakłaniającą króla, by dla Wiednia żądanéj pomocy odmówił. Bo nasz Sobieski, choć pierwszy w całéj Europie bohatér, ale przez wrodzoną słabość ulegania żonie, waha się, zwłaszcza, że ona z wielu panami mającemi swe własne widoki na celu, usiłuje koniecznie odwieść króla, w daniu odsieczy zewsząd zagrożonéj Austryi. Trzeba więc było silnych dowodów, by prawdziwy stan rzeczy ukazać królowi, przekonać go jawnie, jaka zguba jemu i całemu chrześcijaństwu w razie dalszego wahania się zagraża.

— Jednakże pobożny i czcigodny ojcze — przerwał młodzian — czyn przezemnie wykonany, nie zgadza się z mojem przekonaniem, bo każdy podstęp w jakiéjkolwiek on sprawie, zawsze na sobie nosi piętno ochydy!

Ile rozumiesz rzeczy mój synu — odrzekł łagodnie ojciec Anzelm, — ale w tém nie mogę dziwić się tobie, bo nie znasz ani możesz wiedzieć o zawiści, intrygach i razem o planie, jaki dwór

wersalski przeciw Austryi ułożył, by ją zgubić, a zguba ta i naszéj rzeczypospolitéj stałby się mogła grobowcem. Bo gdyby synowie wschodu zdobyli Wiedeń, czy myślisz, że przestaliby na tém? Całą Europę zalaliby pożogą, zwłaszcza, iż Kara-Mustafa, dumny wezyr przyrzekł swemu panu, że przed jego tronem musi Europa schylić swe czoło! A my przedmurze chrześcijańskiego państwa, mamyż stać z założonemi rękami, aby dopiero wtenczas ocknąć się z błędu, kiedy zuchwały muzułmanin, powodzeniem swego oręża ośmielony, zapuści aż w naszą ziemię zagony, bezbronny lud weźmie w jasyr, i zniszczy ogniem nasze wsie i miasta? Nie, w samym początku trzeba go zgnębić, a Wiednia równiny niech będą świadkiem zniszczenia ottomańskiéj potęgi! Tak, synu mój, robiąc przysługę całéj ludzkości, spełniłeś czyn chrześcijański, i teraz król ani na chwilę wahać się nie będzie. Przejęciem tych depeszy, tysiącom ludzi oszczędziłeś śmierć i hańbę, a Bóg zważając na czyste twe serce i niczém nie splamione sumienie, mógłżeby poczytać ci za zbrodnią to, co jedynie dla dobra chrześcijaństwa spełniłeś?

Na taką przemowę kapłana uspokoił się Odrowąż, a ojciec Anzelm odpocząwszy nieco, tak daléj do zadumanego mówił młodziana.

— Teraz o tobie muszę pomówić, bo ze mną schorzałym starcem, kto wie, co stać się może. Ty pójdziesz z walecznemi obrońcami chrześcijaństwa pod Wiedeń, a ja najpewniéj przeniosę się w inną podróż, gdyż czuję po swoich

siłach, że już podobno ostatnia dla mnie godzina dobija. Słuchaj więc dziecię moje cierpliwie tego, co ci powiem, bo w tém cała twa przyszłość spoczywa. A najprzód przyrzeknij mi na imię Boga i Najświętszą Matkę Jego, iż wszystko, co usłyszysz, spełnisz według méj woli i zlecenia.

I usiadłszy na łóżku, schorzały kapłan, zdjął ze ściany wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa, a trzymając go w zeschłéj dłoni, podał ten symbol wiary do ucałowania młodzieńcowi, który bez wahania się wyrzekł:

— W imię Boga i świętéj Jego Matki przysięgam, że wszystko wykonam!

Kapłan również ucałował krzyż święty, a potém zmużonym głosem mówił:

— Podczas twéj nieobecności obmyśliłem ja, abyś posiadał wszystko do godnego w szeregach obrońców chrześcijaństwa wystąpienia. Będziesz miał konia, rynsztunek, i nad sobą opiekę samego generała Kątskiego, przy którego boku masz być nieodstępnym towarzyszem.

Jutro udasz się do niego, on wskaże ci nowe obowiązki, a reszta od ciebie samego zależeć już będzie.

— Na wszystkie twoje potrzeby złożyłem w jego ręce stósowny fundusz. A teraz — sięgnąwszy pod poduszkę, rzekł ojciec Anzelm trzymając w ręku pargaminowy, opieczętowany list, — powierzam ci we własne ręce to, od czego cała twa przyszłość zależeć będzie. Lecz nie wprzód złamiesz pieczęć tego pisma dla dowiedzenia się, co ono w sobie zawiera, dopóki nie

wrócisz zwycięzcą z pod Wiednia, ale i wtenczas nie wpierw otworzysz go, aż naocznie przekonasz się za swym powrotem do stolicy, że ja opuściłem już tę ziemską pielgrzymkę.

Jest on tym chemicznym sposobem pisany, jakiego nauczyłem ciebie, i gdybyś miał zginąć, czego Boże uchowaj, nikt z niego nic nie dojdzie, bo za odpieczętowaniem znajdzie czysty pargamin, a tylko ty jeden posiadający mego wynalazku tajemnicę, wiesz jakiego należy użyć środka, aby litery widzialnemi były.

Odrowąż odebrał tajemnicze pismo, troskliwie schował je za piersi, a czcigodny kapłan znów mówił do wzruszonego młodzieńca.

— Bądź pewnym, że Bóg nie opuści cię, tylko wiernie i statecznie ufaj zawsze w jego miłosierdzie, bo on nigdy nie odmawia swej łaski, szczerze uciekającym się do niego. Te zaszyte relikwie noś zawsze na swych piersiach, one będą silną tarczą, zasłaniającą cię w każdym wypadku.

Długo jeszcze pobożny kapłan dawał młodzieńcowi różne rady, jego modłom polecał grzeszną swą duszę, a będąc pewnym, że nie wiele już chwil mu pozostaje, udzielił swemu wychowańcowi błogosławieństwo, a potém temi zakończył słowy:

— Już musimy się rozstać, aby nie obudzić jakich podejrzeń. Mnie starcowi nic nie zagraża już, ale dla ciebie, mogłaby cała przyszłość okryć się kirem żałoby! Dla tego żegnam cię... bądź dobréj myśli, nie smuć się moim zgonem, bo w

księdze odwiecznych wyroków tak zapisano: że każdy kto rodzi się, umierać musi!

Umilkł kapłan, nie mogąc dalej mówić ze zbytniego wzruszenia, zwłaszcza gdy Odrowąż nie miał siły powściągnąć łez, mimowolnie z oczu biegnących.

Była to bolesna, nader przejmująca chwila. Na łożu dogorywając ostatnim tchnieniem leżał schorzały starzec, a u nóg jego klęczał młodzian, utracający w niem drugiego ojca dla siebie. W około, ponura zaległa cisza, tylko lampa migotliwym połyskiem, oświecała wybladłą twarz starca, i dawała widzieć bolesne cierpienia w obliczu Odrowąża.

Odgłos klasztornego dzwonka, wzywający braci do spoczynku, przerwał tę jednostajną ciszę, a kapłan osłabionym głosem znów powtórzył:

— Bądź zdrów mój synu... idź... niechciéj zgotować sobie zguby na przyszłość!

Mimo chęci, Odrowąż musiał spełnić ten rozkaz, a tłumiąc w swych piersiach bolesne jęki, opuścił klasztorne mury, wydzierające mu opiekuna młodości. Niepostrzeżony wybiegł na ulicę, i szeptał cichą modlitwę do Pana zastępów, aby przedłużył jeszcze dni czcigodnego kapłana.

## VI.

Pominiemy tu wypadki, które wskutek przejętéj, tajemnéj korespondencyi, margrabiego de Vitry posła francuzkiego dworu i z listu Morsztyna cyframi pisanego, nastąpiły; wiele osób skompromitowanych zostało, a kiedy Sobieski na sejmie przedstawił wszystko senatorom, a zarazem skutki jakie ztąd swobodom rzeczypospolitéj zagrozić mogą, na ten czas, wszyscy odstąpili posła Ludwika XIV, a Morsztyn nie mogąc usprawiedliwić się, oddany został pod straż wielkiego marszałka Lubomirskiego, oczekując sądu za swe postępki.

W takim stanie rzeczy, nikt na ten czas przyznać się nie chciał do związków przez partyą francuzką uknowanych; królowa, Jabłonowski, wojewoda ruski, obecnie wielki hetman, Sapiehowie i inni od wszystkiego umyli ręce, zwłaszcza, że Morsztyn nie chciał wyjaśnić klucza tajemnych cyfr, jakiemi list jego był napisany. Sobieski więc odniósł tą razą zwycięztwo nad dumnemi umysłami, chcącemi mu zgotować poniżenie, a wszyscy idąc za jego głosem, postanowili nieść

czynną pomoc Austryi, ottomańską potęgą zewsząd zagrożonéj.

Austrya, tysiącami obietnic łudząc Sobieskiego, podsycała jego dumę i upewniała w mylnie wyrachowanych nadziejach, że dostąpioną koronę i jednemu z swych synów będzie mógł kiedyś przekazać. Rzym błogosławieństwami obsypywał bohatera, zwiąc go wybranym zbawcą chrześcijaństwa, pieniędzmi nawet ofiarował wspierać, a cesarz Leopold wszystko z swéj strony chciał poświęcić, co tylko dostojny teraz sprzymierzeniec mógł był zażądać.

Ale Sobieski umiarkowany zawsze w swych żądaniach, odkładał na późniéj dalsze widoki, nie myśląc ani mogąc przypuścić wtenczas, że za tak wielkie poświęcenie odpłacą mu kiedyś inaczéj.

Pod błogosławieństwem Rzymu z pospiechem zbierało się zewsząd polskie wojsko, wszyscy spieszyli pod chorągwie wodzów, a duchowieństwo w każdym kościele napominało wiernych z ambon, że teraz nadeszła chwila, w któréj pomszczą się tylu krzywd, jakie nieraz Turcya Rzeczypospolitéj wyrządziła.

Młodzież biegła z ochotą w bratnie szeregi, z tém większą chęcią, że w świętéj sprawie obrony całego chrześcijaństwa, sam Król bohater miał przewodzić walecznym. Nikt już nie myślał dziś o stawianiu jakiego oporu, tylko Ludwik XIV zaprzysiągłszy nienawiść, z innéj strony umyślił trapić zewsząd uciśnioną Austryą, aby tym nasycić swą zemstę, zwłaszcza, że nie przypuszczał

nigdy, aby Sobieski osobiście udał się pod Wiedeń. *)

Oboje Królestwo opuścili stolicę, spiesząc do Częstochowy, gdzie Jan III zamierzył złożyć swój hołd Téj osobliwéj, cudami słynącéj, Patronce polskiéj, aby pod Jéj błogosławieństwem i szczególną opieką, rozpocząć dzieło wyswobodzenia zagrożonéj stolicy Austryi.

Wszyscy téż możni panowie, spieszyli w ślad za dworem, bo pobożność cechująca panów polskich, była budzącą dla każdego, a kościół na Jasnéj Górze, od tylu wieków istniejący, był ucieczką prawowiernych, w każdém ważniejszém zdarzeniu życia.

Jenerał Kątski, któremu Michał Odrowąż oddany był w szczególną opiekę, zwlekał jeszcze swój odjazd, a młodzieniec korzystając z tego czasu, zamierzył użyć go dla spełnienia czynu, ciężącego mu kamieniem na sercu.

Postanowił on wszelkiemi środkami w swéj mocy będącemi, ułatwić ucieczkę wielkiego podskarbiego Morsztyna, który z jego choć mimowolnego przyczenienia się, uwięziony został. Tą

*) Margrabia de Vitri zapewnił Ludwikowi XIV, że gdyby Polska niosła czynną pomoc Austryi, sam Sobieski nie może osobiście przewodzić wojsku. Odmalował go bowiem jako zbyt otyłego, dręczonego ciągle podagrą i że z téj przyczyny niepodobno wystąpić mu w pole. Wieść tę rozgłoszono po wszystkich gazetach i dworach, a cała Europa przekonaną była, iż cesarz Leopold otrzymał tylko pomoc Polaków, nie zaś dzielne ramię ich króla.

myślą zajęty Michał Odrowąż, przyrzekł sobie wykonać plan przezeń ułożony, pewnym będąc, że staranie to, pomyślny uwieńczy skutek.

Przebrany w zakonne suknie, widział się z Morsztynem. Obadwaj wspólnie uradzili, co w takim zdarzeniu należy czynić, a skutkiem tego w krótce wielki podskarbi, rozstawnemi końmi dobiegł granicy, aby dostać się do Francyi, gdzie według swego życzenia stanął szczęśliwie.

Środki przedsięwzięte były tak dobrze obmyślane, iż ucieczka ta, długo zostawała w tajemnicy, i wtenczas dopiero powzięto ślad o niéj, gdy wszelka pogoń daremną była, a sprawca tego nie mógł być wykryty.

Zadowolniony tak pomyślnym skutkiem, Odrowąż, towarzysząc zasłużonemu jenerałowi, wyjechał z nim do Częstochowy, gdzie już dniem wprzódy stadło królewskie stanęło.

Po raz pierwszy, ujrzał ten święty obronny gród, o którym słyszał tyle opowiadań i razem podziwiał rycerskie czyny zakonników, co z wszelkiém poświęceniem się pod wodzę swego przeora Kordeckiego, acz przy nader szczupłéj załodze, potrafili obronić tę twierdzę od Szwedów.

Wojowniczym duchem przejęty młodzian, żądzą sławy pałającém okiem, spoglądał na oczerniałe mury, działami najeżone; podziwiał całą malowniczą okolicę, i serce żywiéj biło mu w piersiach, bo w duszy jego tkwiły wszystkie wspomnienia, w szczęśliwéj pamięci wyryte.

Najpierw pobiegł do świątyni, korzyć się przed patronkę Polski, i przyjętym przez wszyst-

kich pobożnych zwyczajem, obchodząc na klęczkach, poza cudownym obrazem, umyślnie na ten cel zrobione przejście, zasyłał gorące modły z tą wiarą i zaufaniem, iż one wysłuchanemi zostaną.

Czyste serce nie zna żądz ani dumy, dla tego też modlitwa jego na tém ograniczała się tylko, iż zasyłał błagania za schorzałym kapłanem swym dobroczyńcą, chcąc wyprosić mu powrót do zdrowia, to znów błagał o względy, dla opuszczonéj matki, i westchnął za swą siostrę, którą miał za utraconą już na zawsze.

Gdy spojrzał potem na obraz téj Królowéj nieba i ziemi, drogiemi kamieniami jaśniejącéj, zdawało mu się, że widać uśmiech na niebiańskiéj twarzy, a w duszy jego powstała jakaś radość, nie dająca wytłomaczyć się.

Na drugi dzień do wyjazdu króla przeznaczony, zapowiedzianą była uroczysta wotywa, do któréj sam monarcha miał służyć, i odebrać miecz, dla zgromienia barbarzyńców poświęcony.

Michał korzystając z téj chwilowéj bytności, zwiedził wszystkie miejsca starożytnéj świątyni, a nadto z kilku towarzyszami postanowił odbyć przechadzkę do przyległego Olsztyna, gdzie na wyniosłéj górze, sterczały mury, ręką czasu i nieprzyjacielskimi najazdami zniszczonego zamku.

Stary żołnierz, nazwiskiem Mroczek, wysłużony jenerał Kątskiego, wiarus, podjął się być przewodnikiem, a zarazem przyobiecał opowiedzieć na miejscu różne historye tego zamku, jeśli przyrzekną wziąć dla posiłku kilka butelek

starego miodu, który wzmacnia wiekiem stępiałą pamięć.

Odrowąż i jego koledzy chętnie przystali na to, i niebawem też ruszyli wszyscy w drogę, aby korzystać z chwili pięknego dnia, zwłaszcza, że było daleko jeszcze do wieczora.

Nim wzniosła się świątynia na Jasnéj Górze, ręką Władysława, księcia Opolskiego dla czci Rodzicy Boga dźwigniona, już piérwéj baszty Olsztyna zasłaniały granice przeciw najezdniczym sąsiadom.

Ruiny olsztyńskiego zamku, sterczące na stromėj skale, a pod niemi licha na piaszczystym rozłogu usadowiona, zaledwo kilkadziesiąt domów licząca mieścina, przedstawiały obraz upadku, niegdyś pamiętnéj twierdzy.

Cztery pasma wapiennych skał, zaciągają tutaj swe skrzydła, a każdy z nich ma swoją nazwę, od kształtu, lub jakiego zdarzenia przez mieszkańców nadaną. Najwyższe nazywają pustelnicą, drugie sokole, trzecie równolegle od tych położone, zowią poprzecznemi, a najniższe karłami.

W pustelni jest jaskinia, majestatyczne dzieło przyrody; wiedzie tam ciasne w skałach, krzakami zarosłe przejście i tylko przy blasku łuczywa, przez usłużnych przewodników niesionego, zwiedzić ją można. Towarzyszy tu grobowe milczenie, ciemność i blask łuny smolnego drzewa, która przed okiem zdziwionego przechodnia, na dzieła przyrody wspaniały widok roztacza.

Z olbrzymiego, w dziwne kształty zagiętego stropu, od wielu wieków spadają nieustannie kro-

ple, które zamieniając się w kamień, tworzą stalaktyty, dziwne kształty i formy przybierające.

Boki jaskini od starości i dymu zczerniałe, przerażeniem i jakąś czcią majestatyczną przejmują zdziwionego wędrowca, budząc w duszy różne domysły i próżne dociekania, kto mógł wykuć te lochy podziemne, chyba ręką bajecznych centaurów wyciosane.

Wędrowcy nasi zwiedzili to wszystko, podziwiali te cuda natury, zawierające w sobie tyle z ubiegłych wieków tajemnic.

Kiedy już weszli na szczyt skały i obejrzeli resztki murów z obronnego zamku pozostałych, wtenczas osiwiały Mroczek, usiadłszy na kamiennym odłamie i pociągnąwszy dobrą porcyą starego miodu, zaczął mówić następną swym towarzyszom opowieść:

To małe miasteczko jest rodzinną mą kolebką i pacholęciem będąc, nieraz biegałem po tych skałach, wdzierając się do starej wieżycy, za wybieraniem gniazd ptasich. Za owych czasów, bo minęło już lat pięćdziesiąt, sam zamek stał jeszcze, opierając się zniszczeniu, ale nie był zamieszkiwany, tylko słaba załoga w nim była, dopóki Szwed, mszcząc się za niezdobycie twierdzy na Jasnej Górze, nie zniszczył wszystkiego, i dziś stoi kościotrup z potężnego niegdyś olbrzyma. Wiele trzebaby mówić o tem, bo i wiele krwi wsiąkło w te wapienne skały!

Ale jeno ważniejsze rzeczy opowiem waszmościom, a najprzód bohaterski czyn osiwiałego

w bojach Kaspra Karlińskiego, niegdyś dowódzcy téj twierdzy.

Opowieść tę słyszałem z ust mojego ojca, który natenczas walczył przy jego boku, a wypadek ten żywo tkwi w méj pamięci, jak gdybym sam widział go na własne oczy.

Wszyscy zwrócili ciekawą uwagę, a Mroczek pociągnąwszy znów starego miodu, zaczął mówić z wojennym zapałem:

Po śmierci Stefana Batorego, pankowie nasi zaczęli myśleć o nowéj elekcyi, a że stronnictwa podzielone były, przeto każda partya popierała swego kandydata. Zamojski spowinowacony z domem zmarłego króla, łącznie z innemi magnatami, postanowił na zawakowany tron powołać ród idący od Jagiellów i ofiarował go Zygmuntowi III, w religii rzymsko katolickiéj wychowanemu. Zborowscy, zawzięci Zamojskiego nieprzyjaciele, za to, iż wyrok śmierci spełnił na ich bracie, silni przemożną partyą, obrali arcyksięcia Maksymiliana Rakuzkiego.

Obiedwie strony ogłosiły wybranych przez siebie króli, wysełając zarazem do nich posłów, mających nalegać o spieszne przybycie, albowiem na tym jedynie zależało wszystko. Rakuzcy żołnierze, chcąc mocą oręża utrzymać swego księcia na tronie, wkroczyli w granice polski, a wódz ich postanowił zdobyć Olsztyński obronny zamek, doświadczonemu w bojach, Kasprowi Karlińskiemu przez wielkiego hetmana powierzony. Starzec nie dał się uwieść różnym dawanym mu obietnicom, oświadczając, iż nie zlamie swéj do-

bréj wiary, dla prawego króla Zygmunta III poświęconéj, odmówił poddania twierdzy, wszelki zaś napad siłą odeprzeć postanowił. Chcąc przełamać jego upór, Rakuszanie, podstępem niegodnym wojowników, zabierają piastunkę wraz z jedynym dziecięciem Karlińskiego i postawiwszy ją na czele swych szyków, osłonieni tą tarczą, śmiało postępują pod mury. Zatrzęsło się serce żołnierza i wodza na widok ukochanego syna, nastąpiła chwila, w któréj uczucia ojca przemagały powinność dowódzcy; ale była to krótka z samym sobą walka... Karliński porywa lont, zapala a załoga zagrzana tak strasznym przykładem, sypie grad kul na oblegających i ze sromotą odpędza ich od warowni.

— A biedne dziecię? — zapytali wczyscy razem.

— Poległo!... — odrzekł ponurym głosem Mroczek, — ale zamek ocalał, a z nim honor i powinność wodza, wiernego swemu monarsze! *)

Nastąpiła głucha cisza, na twarzach rycerzy malowało się boleść i wszyscy szeptali cichą modlitwę za duszę starca, który wyrzekł się uczuć ojca, aby włożonym nań obowiązkom zadosyć uczynił.

Mroczek podumawszy chwilę, wziął znów butelkę do ręki i głosem nieco wzruszonym przemówił:

— Zmówiliśmy pacierz za duszę bohatéra, dowódzcy spustoszałéj dziś warowni, teraz, jako

*) Wypadek ten ściśle historyczny miał miejsce 1587 r.

żołnierze spełnijmy toast rycerski na jego cześć... Niech żyje wiecznie w pamięci prawy mąż, świętéj pamięci Kasper Karliński, pokój jego duszy!... i w milczeniu pociągnął kilka łyków, a ocierając zwilżone usta i pokręcając wąsa, dodał daléj z wesołą twarzą:

Teraz powiem wam inne ciekawe o tém zamku rzeczy, słuchajcież waszmość z uwagą, a każdy kto z nas zdrów wróci do domu, będzie mógł korzystać z méj mowy, jeśli zapragnie zostać bogatym.

W tych podziemnych lochach, w skale wykutych, zakopane są ogromne skarby, ale ich bies pilnuje. Pastuszek wszakże jeden, bogobojny chłopiec, ręką Najwyższéj Opatrzności wiedziony, wziął z nich udział, jak to zaraz zobaczycie.

Śród tych ruin i skał zabłąkała mu się owca od stada; bojaźń kary obudziła w nim odwagę i począł usilnie szukać swéj zguby; aby zaś drugi raz w jedném i tym samém miejscu straty nie szukał, po drodze, którą przebywał, kładł na znak krzyże. Takim sposobem postępując z pieczary do pieczary, napotkał na żelazne drzwi, za któremi brzęk łańcuchów, a razem i bek swéj owcy posłyszał. Bojaźń kary silniejszą była nad wszelkie inne uczucia, a radość z wynalezienia zguby dodała chłopcu odwagi do uchylenia ciężkiéj zapory, przedzielającéj go od zbłąkanéj owcy.

Przestąpiwszy próg jaskini, przerażenie ogarnęło pasterza, bo ujrzał szatana, a po rogach i warkoczu, które wyglądały z pod kapelusza,

niemniéj po kozich nogach, domyślił się, że to jest nieprzyjaciel rodu ludzkiego.

Djabeł w czerwoną kurtkę ubrany, siedział na beczce złota, a paląc sobie fajkę, trzymał owcę za uszy, ona zaś przestraszona, miłosiernym głosem beczała.

Pasterz nie tracąc odwagi, śmiało spojrzał panu djabłu w oczy, mówiąc doń; — oddaj mi waszmość moją zgubę.

Szatan roześmiał się szyderczo, i puścił z ust kilka kłębów dymu, tak że w całéj pieczarze zrobiło się ciemno.

Chłopak wszakże nie ustraszywszy się tem bynajmniéj, powtarzał owe nalegania tak uprzejmie, że zły duch ujęty jego grzecznością wyrzekł.

— Podobałeś mi się dzieciuchu, dam ci dowód méj łaski, nie tylko iż utraconą owcę odbierzesz, ale pozwalam ci zabrać sobie tyle złota, ile tylko unieść zdołasz.

Pastuch nie dał się więcéj prosić, ale jął kłaść dukaty w torbę, zawieszoną na plecach, daléj w połę od sukmany, a kiedy już obładował się porządnie, bo i w kapelusz i za pazuchę nie zapomniał nasypać, bies tak mu rzekł przy rozstaniu:

Będziesz teraz bogaty, ale pamiętaj, nigdy tego złota nie obracać na pożytek innych, bo zubożałbyś niedługo; wychodząc zaś ztąd, nie obejrzyj się, bo zguba twoja byłaby gotową.

Chłopak święcie wykonał rozkaz, żył potém w dostatkach, i za radą proboszcza, któremu zwierzył się z wszystkiego, poczynił znaczne dla

kościoła dobrodziejstwa, i dużo złote wotum złożył przed cudownym na Jasnéj Górze obrazem.*)

Młodzi rycerze zdumieni tą opowieścią, spojrzeli po sobie, Mroczek korzystając z ich usposobienia, znów pociągnął miodu i tak daléj rzecz prowadził:

— Krąży jeszcze między ludem podanie, że niejaki Maciéj Borkowicz, wojewoda poznański, za popełnione nadużycia i morderstwa przez Kazimierza Wielkiego, na głodową śmierć skazany, i do pieczary pod wieżą zamkową wrzucony, życia dokonał. On to po okropnéj śmierci miał tajemnie z pomocą szatanów przenieść ukryte swe skarby, które przed okiem ludzkim są niewidzialne. Człowiek tylko w zupełnéj niewinności będący, jak ów pastuszek, mógłby osięgnąć te bogactwa, lub téż ten, kto dostanie kwiatu paproci. Ale jedno i drugie trudne jest na świecie, zatém skarby te nie prędko wyjdą z rąk szatańskich.

Działy się tu i okropności, bo za szwedzkiéj wojny, którą tak dobrze pamiętam, niemało ludzi znalazło śmierć w tych podziemnych pieczarach, gdzie napróżno przed srogim nieprzyjacielem szukano schronienia. Mordowano dzieci, starców, niewiasty i piękne dziewice, bo Szwed okrutny nikomu nie przebaczał w swéj zemście.

A teraz zmówmy pacierz za te niewinne ofiary, skazane na poniesienie męczeńskiéj śmierci.

---

*) Opowieść ta ściśle osnuta jest na miejscowem podaniu.

Z odkrytemi głowami, klęcząc na gołéj skale, rycerze zasyłali modły do Boga; w téj saméj chwili ozwał się donośny głos dzwonu, z jasnogórskiéj wieży na Anioł Pański i nasi wędrowcy opuścili te smutne zgliszcza, nieme świadki minionéj potęgi, wielkich czynów, a razem wspomnień, które na dnie wiecznéj nocy pogrążone być powinny.

## VII.

Obóz turecki, na równinach Wiednia rozłożony, zajmował okiem nieprzejrzaną przestrzeń, pośród której zdaleka lśniły się złocone półksiężyce, zwykłe znamiona wyznawców alkoranu. Stanowił on, jakby ogromne miasta, gdzie zbytek a nawet przepych do najwyższego stopnia posunięty, zdumiewać mógł każdego, bo krocie różnobarwnego wojska zalegały ogromną przestrzeń, począwszy niemal od gór Kalenbergu. Przeszło dwakroć sto tysięcy namiotów stało rozpiętych na równinach, Wiedeń otaczających i stanowiły one większe jeszcze drugie wojenne miasto. W środku tego obozu, stał wielkiego wezyra, Kara Mustafy, karmazynowy namiot do obszernego pałacu podobny. Na szczytach jego załamków, lśniły się złocone gałki i półksiężyce, wewnątrz zaś oprócz mnóztwa urządzonych komnat dla niego, seraju i całéj służby, były jeszcze sztuczne z fontannami ogrody, w pośród nich latały różnobarwne papugi i biegał struś, jak gdyby ta zbytkowna siedziba, na długie lata trwać miała.

W całym tym obozie panowała dziwna mię-

szanina różnych narodów, poddanych lub hołdujących porcie. Oprócz samych Muzułmanów byli tu Grecy, Siedmiogrodzianie, Wołosi, Arabowie i Tatarzy.

Po za temi namiotami, jak czarny punkcik na widnokręgu, sterczały mury Wiednia, poprzedzane okopami i redutami, z których niemal ciągle zionął ogień na oblężoną stolicę. Piękne przedmieścia spalone lub umyślnie przez Staremberga zburzone, by nie dawały łatwiejszego przystępu nieprzyjacielowi, przedstawiały widok ruiny i zniszczenia. W około widać było samo spustoszenie, a dym kłębami wijący się po ziemi, z daleka dolatywał, przejmując postrachem wszystkich okolicznych mieszkańców, którzy opuścili swoje mienie, tułając się po lasach, aby choć życie uratować, przed tak groźnym nieprzyjacielem.

Bogaty namiot wielkiego wezyra z kilkudziesiąt komnat złożony, obejmował zarazem w sobie jego seraj, każda odaliska miała oddzielne komnaty, gustownie we wszystko opatrzone, tak że nawet przy nich ogródki ze sztucznemi fontannami urządzone były.

W jednéj z tych komnat siedziała rzadkiéj piękności młoda niewiasta.

Jéj twarz ściągłych rysów, ożywiał lekki rumieniec, przebijający się przez delikatną płeć śnieżnéj białości. Nosek greckiego składu, usta wązkie małe, karminowego koloru, szyja pełna i ramiona owalnie zaokrąglone, przedstawiały zachwycający biust pięknéj kobiety. Wysokie, wydatne czoło,

ocieniały krucze włosy, w sztuczne warkocze uplecione, a dwa ciemne łuki brwi okazywały oprawę dużych, podłużnych oczu, jakiemi Włoszki poszczycić się mogą.

Zawój z pąsowego kaszmirowego, wysokiéj ceny szalu, w delikatne przeguby ułożony, otaczał jéj małą główkę, a resztę ubrania składała jedwabna, także pąsowa materya, złotem i brylantami przetykana. Wysmukłą kibić obejmował wązki pas, dużemi perłami w deseń przeszywany, i podobneż obuwie błyszczało na zgrabnych, podłużnych nóżkach.

Drobne jéj rączki zajęte były w téj chwili układaniem rozmaitych brylantów, które porozrzucane, leżały w safianowem pudełku, na sofie, pokrytéj najpiękniejszéj roboty perskim dywanem.

Jednakże Zelima, owa ozdoba całego seraju Kara Mustafy, znudzona poniekąd otaczającemi ją bogactwami, niechętnem okiem spoglądała na te błyskotki, któremi w niczem zaspokoić nie mogły serca i myśli, jakie w małéj głowie błądziły.

Chociaż wszystko co otaczało dwór wielkiego Wezyra, ubiegało się o pozyskaniu jéj względów, wszakże Zelima obojętna na te nadskakiwania, w niczem nie okazywała radości, owszem na jéj wyniosłem czole, niejako wypiętnowany był ciągły smutek.

W pośród tego dumania, weszła niewolnica murzynka, zaufana powiernica Zelimy. Na jéj widok rozjaśniło się oblicze pięknéj odaliski,

z wymuszonym uśmiechem na twarzy, pierwsza przemówiła.

— Jakież przynosisz mi wiadomości, moja Artimo?

Niewolnica tajemniczo obejrzawszy się w około, usiadła przy jéj nogach, i cichemi słowy szeptała do ucha pochylonéj Zelimy.

— Najczystsza dziewico na ziemi, jutro będzie okropny dzień. Wielki Wezyr nasz pan, kazał obnosić się w lektyce po całym namiocie, bo ma być przypuszczony szturm, ażeby zdobyć Wiedeń, i zagarnąć wszystkie znajdujące się w nim bogactwa.

Zelima wzdrygnęła się na te słowa, jéj członki przebiegło nagłe, konwulsyjne drżenie, a po małéj chwili uspokojenia się z tego wzruszenia, znów odrzekła nieco lękliwie.

— Więc dotąd nieprzyszły spodziewane dla Wiednia posiłki? — Od kogoż ma przyjść im pomoc, kiedy w koranie jest podobno napisane, że wyznawcy Machometa ogarną wszystkie kraje, które chrześcijanie posiadają dotąd.

— Przecież Artimo, jest Bóg miłosierny, który o najmniejszym nawet robaczku pamięta, dla czegóżby więc ów wszechmocny Stwórca miał dopuścić, aby wyznawcy Jego świętéj wiary na zawsze pognębionemi zostali?

— O Zelimo i ja wierzę w wszechmocność tego Boga, bo ty ukazałaś światło moim oczom, ale mówię, że chrześcijanie za wiele zrobili już złego, i teraz tenże sam Bóg zesłał na nich taką plagę.

— Nie wierz temu Artimo, bo Bóg chociaż karze ludzi, za grzechy, ale i wtenczas nie usuwa jeszcze swego miłosierdzia, jeśli tylko z pokorą ucieka się kto pod jego ojcowską opiekę. A ja ileż razy upadłabym, gdyby nie ta wszechmocna ręka, co strzeże mnie niewidomie i łaska Najświętszéj Panny?

Niewolnica z widoczną bojaźnią słuchała téj śmiałéj mowy Zelimy, bo przytłumionym głosem odrzekła pospiesznie.

— Moje drogie dziecię, mój ty pączku najpiękniejszéj róży, nie mów tak w tem miejscu, bo jedno posłyszane słowo, mogłoby mnie i ciebie zgubić na zawsze. A chociaż wszyscy okazują ci tu największą cześć i szacunek, wszakże ci sami byliby pierwszemi do zgubienia ciebie, gdyby tylko choć cień jaki mogli upatrzyć do potępienia. Twoje rywalki dziś opuszczone i zapomniane od wielowładnego ich pana, radeby w jednéj chwili pozbyć się ciebie, gdyby to było w ich mocy. Wiesz przecież dobrze Zelimo, że po dwakroć osłoniłam cię od nieochybnéj śmierci, którą w napoju zadać ci chciały te przewrotne niewiasty, chcąc znów tym sposobem utracone serce Wezyra pozyskać.

— O Artimo pełna szlachetnych uczuć kobieto, ty jesteś drugą matką dla mnie i Bóg kiedyś niezapomni i tego, co uczyniłaś dla biednéj sieroty. Wszak i ciebie wydarto z rodzinnego kraju, zaprzedano w niewolę, w któréj zestarzałaś się, ale nie wydarto ci pięknych uczuć serca, które są najdroższym skarbem na ziemi.

Ty jedna tylko zrozumiałaś mnie, ty zarówno podzielasz mój smutek, bo wiesz sama z doświadczenia, jak gorżki jest los tego, kto naj droższe osoby utraci na zawsze. I ja równie, jak ty nie ujrzę już pewnie rodzinnéj ziemi, matki... brata... i niegdyś znajomych!

Daléj ze zbytniego wzruszenia nie mogła już mówić Zelima, bo łzy jak perły biegły po licach.

Uspokój się lube dziecię — łagodnie mówiła Artima, tuląc ją do swych piersi — wszak zawsze mówiłaś, że trzeba mieć nadzieję w Bogu, a dla czegoż w téj chwili opuszcza cię odwaga?

Bo z tego co powiedziałaś mi, wnoszę sobie, że wszystko pójdzie inaczéj, nie tak jak przeczuwało me serce. A jeśli wezmą Wiedeń, zwyciężą chrześcijan, wtenczas Artimo przepadłoby już wszystko, i ja pochylę czoło jak ów kwiatek, który musi uschnąć, jeśli nie odświeży go rosa i ożywcze promienie słońca.

— Piękny fiołeczku, ty nie uschniesz na obcéj ziemi, ujrzysz jeszcze swą rodzinę, będziesz szczęśliwą. Tak przepowiadam ci Zelimo, a wieszcze moje słowa nie zawiodą nigdy. Wszak wiadomo ci, że przyszłość nie jest mi obcą, bo nieraz sam wielki Wezyr przekonał się o tém, i dla tego téż nieograniczone zaufanie zyskałam. Ale podeszła w wieku Artima nic już nie może spodziewać się dla siebie, i dawno przestałam téż pragnąć, aby jeszcze choć raz w życiu ujrzeć dziewicze lasy mojego kraju. Bo po tylu latach, mogłażbym znaleść tam kogo z mo-

jéj rodziny, którą albo podobny memu los spotkał, lub wymordowali ich biali ludzie. Tego tylko pragnę, aby przy tobie dni moje zakończyć i widzieć twe szczęście, a wtenczas powiem ci z dumą, iż spełniła się moja przepowiednia!

— O jak dobrą jesteś Artimo! Tem więcéj pragnę teraz, aby dozwoliło mi niebo odwdzięczyć ci się za twe życzenia.

I tak wiele uczyniłaś już dla mnie, szlachetna Zelimo, bo wzgardzoną niewolnicę przypuściłaś do poufnéj przyjaźni, na któréj nie zawiedziesz się nigdy. Ja życiem mojém gotowabym dni twoje okupić, a nie mając już nikogo dla siebie na téj ziemi, tobie tylko usługi moje pragnę poświęcić. I wierzaj mi Zelimo, że w tych dniach cały los przyszłości rozstrzygniętym będzie, a jeśli zwyciężą chrześcijanie, wtenczas...

— I my obiedwie oswobodzone będziemy... cicho dorzuciła Zelima.

Bądź więc dobréj myśli, i nie zachmurzaj smutkiem swojego czoła, moje dziecię, a ja starać się będę dziś powziąść pewniejsze wieści, czy nadeszła spodziewana odsiecz dla Wiednia.

Grzmot dział raz wraz powtarzający się spowodował, iż Zelima wysłała Artimę dla powzięcia wiadomości, czy nie zaszło co nowego, lub téż nie nadciągnęły spodziewane oblężonym posiłki.

Znów młoda odaliska pozostała sama z swojemi bolesnemi myślami, a za każdym gromem dział, czułe jéj serce doznawało trwożliwych wra-

żeń bojaźni o los chrześcijan, mający się w krótce rozstrzygnąć.

Upadła na kolana, zasyłając w cichości korne modły do władcy wszech świata, aby łaską miłosierdzia swego odwrócił burzę, zapowiadającą zniszczenie. Potém wyjąwszy z za gorsu mały złoty medalijonik, z wizerunkiem matki Zbawiciela świata, przyciskała go do ust, a dwa strumienie łez biegnąc po jéj delikatnéj twarzy, świadczyły o wzruszeniu, które opanowało piękną odaliskę.

Nie zadługo powróciła Artima; w rysach jéj twarzy jaśniała niezwykła radość, jakąś ważną wiadomość zwiastująca.

— Na widok swéj powiernicy, szybko powstała Zelima, zacierając zwilżone łzą oczy, utkwiła nieme spojrzenie, nie śmiejąc zapytać się sama o to, co z radością usłyszeć by chciała; ale Artima nie dała oczekiwać, bo z uśmiechem na ustach, szepnęła jéj do ucha.

Pojmano jeńca polskiego, i od niego dowiedziano się, że mężny król polski, nadciągnął już z swojém wojskiem do oswobodzenia Wiednia.

— A gdzież ten jeniec, Artimo, czy nie mogłabym widzieć go?

Niewolnica wyraźnie zatrwożona temi słowy jeszcze ciszéj, jak wpierw odrzekła.

Otoczony strażą oczekuje na powrót Wezyra, który osobiście sam badać go będzie. Znasz zaś zwyczaje, że żadnéj odalisce nie wolno jest widzieć chrześcijanina, tem bardziéj przeto

ciekawość twoja ściągnąć by mogła nie tylko podejrzenie, ale jeszcze gorsze jakie następstwa.

Prawda Artimo, zapomniałam, że równie jestem niewolnicą, która ślepo posłuszną być winna, jeśli nie chce, aby spotkał ją smutny los postradania życia. Dla tego muszę powstrzymać mą ciekawość, ale ty przynajmniéj staraj się jeszcze dowiedzieć co więcéj, bo wiesz ile te wszystkie szczegóły obchodzą mnie bliżéj.

Dobrze moje dziecię, tylko nie smuć się, bądź więcéj wesołą, jak dawniéj, zwłaszcza że w całém wojsku objawia się dla Wezyra niechęć, a tém bardziéj teraz, gdy mają pewną wieść, iż król polski, osobiście z swemi hufcami pospieszył dla dania pomocy oblężonym. Widzisz więc, że słowa moje coraz większą przybierają pewność, a za dwa dni zobaczysz co jeszcze nastąpi!...

O! dałby to Bóg Najwyższy... cicho wymówiła Zelima, a w tém powtórzone wśród obozu okrzyki, oznajmiały im o powrocie wielkiego wezyra, ich pana i władcy.

Artima wybiegła znów w chęci przysłużenia się nowemi wiadomościami, a w téj saméj chwili w lektyce niesiono Wezyra do namiotu.

Wracał on z przeglądu, gdzie osobiście przekonywał się, jak daleko postąpiły podziemne okopy pod mury Wiednia, któremu cios ostatecznéj zagłady zgotować zamierzył.

Wszyscy dowódzcy zebrani byli przed namiotem, bo dziś odebrać jeszcze mieli ważne do spodziewanego szturmu rozkazy. Głuchym okrzy-

kiem powitali Wezyra, a on wychodząc z lektyki, groźnem okiem przebiegł po ich twarzach, chcąc niejako wyczytać z nich wewnętrzne umysłów usposobienie. Wsparty na ramionach dwóch paszów Alepu i Sylistryi, którzy pomogli mu do wyjścia, szedł dumnie z podniesioną głową i bacznie spoglądał na dowódzcę jańczarów, mając go od niejakiego czasu w podejrzeniu ku sobie.

Wielki Wezyr, kara Mustafa Kalugli, chociaż przyciśniony wiekiem, jednak odznaczał się jeszcze całą rześkością, a duma wielowładnie w niem panująca, wsparta pewnością zawojowania chrześcijan, malowała się na wydatnem czole i w śniadych rysach, ubielonym włosem otoczonych. Jego małe, przenikliwe oczy, migotliwe, wieleznaczące spojrzenie rzucały w około, a dwa łuki nie ze wszystkiem posiwiałych brwi, nadawały twarzy pochmurny wyraz.

Większa część dowódzców, chociaż w duszy nienawidziała Wezyra, wszakże srogość, jaką okazywał dla każdego z podwładnych, wraziła w nich pomimowolne uszanowanie, jedynie postrachem utraty życia wywołane. Dla tego też każdy z nich z największą napozór uległością, schylał swą głowę przed ulubieńcem Sułtana, choć w sercu gotował mu zgubę nieomylną.

W tem przybliżył się kara Machmed pasza Budy, jeden z faworytów Wezyra, i z największem uszanowaniem objawił mu, iż schwytany został jeniec polski.

Na te słowa, kara Mustafa wyżej jeszcze podniósł głowę i spojrzał w przeciwną stro-

nę, gdzie pod mocną strażą stał ów mniemany jeniec.

— Ha! dam na nim przykład méj surowości — odrzekł dumny Wezyr — nasycę mą zemstę nad tym niewiernym, ale przedewszystkiem sam wybadam go w obec dowódzców na wojenną radę wezwanych. Każ, aby w tym celu przyprowadzono go tutaj.

Pasza pobiegł wykonać rozkaz, a zebrani dowódzcy szli w najgłębszém milczeniu opodal za Wezyrem, spoglądając niekiedy znacząco na siebie zwłaszcza ci, co w tajemném porozumieniu zostawali z sobą.

Pierwszy za Karą Mustafą postępował Wezyr Sylistryi, przed nim równie jak przed wielkim Wezyrem, noszono trzy buńczuki; obok zaraz szedł Ibrachim pasza Beglerbej Budy, ośmdziesięcioletni starzec największy ówczesny wojownik, dowódzca jazdy Spachów, Wołochów i Tatarów, a razem skryty wielkiego Wezyra nieprzyjaciel. Nieco opodal na ziemi zdążało wielu paszów różnych prowincyi a na samym ostatku szedł sam jeden Selim Gerej han krymskich Tatarów.

Była trzecia z południa godzina, słońce przyświecało w całym blasku, a jego złociste promienie, odbijały się o szczyty namiotów, przepychem bogactw jaśniejących.

Z obydwóch stron umilkły śmiercią zionące działa, zaległa jakby grobowa cisza, a na wszystkich twarzach widać było zniechęcenie i skryte jakieś przeciw woli wielkiego Wezyra ułożone zamiary.

Szpaler, przez jańczarów sformowany, prowadził do Kara Mustafy namiotu, całym zbytkiem wschodu jaśniejącego, a wonne przez niewolników poustawiane kadzidła, z daleka aromatycznie przenikały powietrze, dymem prochu przesycone.

Szereg niewolników z schylonemi ku saméj ziemi czołami; z rękami oburącz na piersiach założonemi, oddał pokłon swojemu panu i władcy, a Wezyr nie rzuciwszy nawet spojrzenia na ten tłum skinieniom jego posłuszny, wszedł dumnie przez podjęte zasłony do obszernéj komnaty, bogatemi, perskiemi kobiercami zewsząd przybranéj.

Na samym środku, jakby w kształcie tronu, stała ustawiona sofa, dywanem wielkiéj ceny pokryta, a poboczne wezgłowia drogiemi kamieniami świeciły. Kara Mustafa usiadł wschodniem zwyczajem na owéj sofie, obok niego z jednéj i drugiéj strony stanęli dorodni wiekiem dwaj synowie, a daléj szerokiem półkolem uszykowała się cała starszyzna koleją, według swych dostojeństw.

Wielki wezyr jedną ręką głaszcząc swą siwą brodę, drugą z niechcenia oparł na bogatym, tkwiącym mu do pasa kindżale, a powiódłszy w około groźnym wzrokiem, przemówił:

— Zgromadziłem was tu w około siebie nie dla tego, aby zasięgnąć zdania, bo każdy mój rozkaz święcie wykonanym być musi, a kto śmiałby się oprzeć temu, głową swoją przypłaci tę zuchwałość, ale z uwagi, iż pomiędzy wami są tacy, którzy zazdroszczą mi wszystkiego,

knują w cichości niegodne zamiary, by osłabić ducha walecznego wojska.

Zniewolony więc jestem oświadczyć w imieniu powierzonéj mi przez sułtana władzy, że postanowienie moje zdobycia Wiednia, jest nieodmienne i żadna ludzka siła oprzeć się temu nie potrafi. Uporne to miasto zamienię w perzynę i tém pomszczę wyrządzoną nam zniewagę; w miejsce zrzuconych naszych półksiężyców, staną tureckie meczety, a tę ziemię przez niewiernych zamieszkaną, wyznawcy téj wiary dzierżyć i uprawiać będą.

Na chwilę zamilkł wielki wezyr i na niektóre podejrzane mu twarze, rzucał przenikliwe spojrzenie, dla wybadania, jakie wrażenie zrobiła ta mowa. Ale wszyscy tu zgromadzeni stali w niemém milczeniu, nikt najmniejszém nawet skinieniem nie objawił swéj niechęci. Po małym przestanku, ciągnął daléj dumny dowódzca:

— Ci wszyscy, którzy okażą ślepe bez granic moim rozkazom posłuszeństwo, niech pewni będą zlania na siebie wielkich łask, a bogactwa w Wiedniu nagromadzone, dostaną im się w udziale. Ja dobrowolnie zrzekam się przypadającéj na mnie części i wszystko oddam dla tych, co z całém poświęceniem się za wiarę naszego proroka, nieoszczędzą swéj osoby. Gdy zdobędziem to przedmurze chrześciaństwa, reszta zdać się musi na łaskę, a po samą granicę Polski, zatkniemy sztandar zwycięztwa.

— Ale wielki wezyrze — przemówił śmiało Ibrahim pasza, Beglerbej Budy — wojska sprzy-

mierzone nadciągnęły w pomoc oblężonym, na ich czele stoi niezwyciężony król polski i jakże zdołamy oprzeć się jego sile?

Kara Mustafa błyszczącym od gniewu wzrokiem, zmierzył od stóp do głowy śmiałego wojownika, a powściągając swe przeciw niemu oburzenie, odrzekł porywczo:

— Czy już stępiał w pochwie twój jatagan, i z wiekiem zabrakło ci męztwa, że dziś lękasz się garstki, którą za jedném spotkaniem zgniotą nieprzejrzane okiem nasze zastępy? Po cóż więc przyszedłeś tu ze mną, czy aby siedzieć bezczynnie, lub haniebnie od zwycięztwa uciekać?

— Posiwiałem w bojach — z dumą podnosząc głowę, odrzekł Ibrahim — a szereg moich zwycięztw, któremi odznaczyłem się w mojém życiu, poświadczą czyny, jakich dziś nie potrzebuję wyliczać. Ale i ja należę do wojennéj rady, bo tak nasz wielki sułtan rozkazał, dla tego wielki wezyrze, musisz mojego głosu wysłuchać!

— Mów! — groźnie odrzekł Mustafa i zaciął zęby z zbytniego uniesienia, ale po chwili dodał: — pamiętaj, iż przy mnie najwyższa władza, i że tylko ja jeden w imieniu sułtana tu rozkazuję!

— Wiém, co należy takiemu wodzowi i jakie każdy z nas winien mu posłuszeństwo. Wszak razem postarzeliśmy się w bojach, a choć los tobie powierzył dowództwo, ja przecież mam w radzie mój głos, wsparty długoletniem doświadczeniem. Jak dawniéj na radzie dywanu, tak i teraz na samym placu boju, nie zmieniałem

mojego zdania, a nie moja w tém wina, że inni mniéj przewidujący wszystko, nie chcieli słuchać zdrowego zdania.

— Zuchwały! chcesz więc ubliżać samemu sułtanowi? — A w téj saméj chwili zerwawszy się z sofy, wielki wezyr, stanął przed nieulękłym Ibrahimem.

— Rozkazy sułtana, mojego pana i władzcy są świętemi dla mnie i głowa moja jest na jego skinienie, ale tylko on sam ma prawo do tego, jeśli przyśle mi swój haliszeryf. Wszakże nie zasłużywszy sobie na to, myślę, iż taką śmiercią nie umrę. Grad kul omijał osiwiałą w bojach mą głowę i ona nie skazana, aby jedwabny sznurek uczynił niememi me usta! Przywykłem zawsze i wszędzie mówić otwarcie jako żołnierz, bo nie znam dworskich intryg, ani obłud, a rozkazy sułtana szanuję w głębokiéj pokorze.

— Więc cóż masz do zarzucenia przeciw mnie i moim rozkazom?

— Wielki wezyrze, każesz mi mówić, wykonam twą wolę, racz tylko cierpliwie wysłuchać.

— Dobrze... mów... słucham cię bez uniesień. — I znów przybierając spokojną postawę, usiadł na sofie, utkwiwszy swój wzrok w pełne powagi oblicze Ibrahima.

— Wodzu, wszak już tak dawno stoimy na tych równinach, a cóż zdziałaliśmy dotąd? Dla czegoż dawniéj nie przypuściliśmy szturmu, nie dopiero teraz, kiedy nadciągły sprzymierzone wojska?

Ubiegł czas stracony, wojsko długą bezczyn-

nością zniechęcone, zewsząd straszy nas śmiercią głód, i zupełném zniszczeniem zagraża.

— A jakże od razu chciałeś wszystkiego dokonać bez oblężenia, zwłaszcza gdy niepłonne były nadzieje, że poddadzą się na naszą łaskę?

— Łudzono cię wezyrze, a przynajmniéj ja zawsze byłem przeciwny temu. Już od miesiąca należało skończyć, zamienić wszystko w perzynę, nie tracić drogich chwil, i nie dać czasu do zebrania się sprzymierzonemu wojsku. Dziś król polski na ich czele, samo jego imię już szerzy postrach w około, a gdy jeszcze całe wojsko dowie się o tém, odwaga wszystkich odbieży.

— Fałsz... kłamstwo bezczelne!... — przerwał porywczo wezyr, — jak król polski śmiałby łamać zawarte z nami traktaty?

— Tak jest niemylnie wielki wezyrze, a jeśli nie wierzysz mym słowom, rozkaż wprowadzić Wołoszyna, którego sam wyprawiłeś na zwiady, bo on właśnie jest tym mniemanym jeńcem, którego straże wzięły za przebranego szpiega z polskiego obozu, a od niego dowiesz się potwierdzenia méj mowy.

— Ha, wrócił ten Wołoszyn?... więc go wprowadzić.

— Tak wielki wezyrze, — odrzekł han tatarski — jest to ten sam Wołoszyn, który służy w chorągwi Karłaszów pod wodzą Duki, hospodara Wołoskiego, a jemu miłościwy panie sam od siebie dałeś tajemne zlecenie.

— Dobrze!... wobec was wybadam go, abyście nie sądzili, że robię jakie tajemnice,

i natychmiast dał znak wezyr, aby stanął przed nim.

Wprowadzono przestraszonego Wołoszyna, który za zbliżeniem się, upadł na twarz przed wezyrem, a gdy ten rozkazał mu powstać, zbliżył się Duka hospodar Wołoski i potwierdził, że to jest ten sam, którego wezyr wysłał na zwiady do polskiego obozu.

— Mów śmiało tu w obec wszystkich co widziałeś — przemówił wezyr — i czy jest sam król polski przy wojsku, które oblężonym nadciąga w pomoc.

— Wielki władzco — schylając ku ziemi czoło, odrzekł Wołoszyn — wszystko wiernie wypowiem, to co widziałem na własne oczy. Wojska polskie są wielkie, a na ich czele sam król polski Jan III postępuje, którego nietylko że widziałem, ale i mówiłem z nim, i kazał oświadczyć, że w niedzielę rano to jest jutro, stawi się na śniadanie u waszéj wysokości.

Skoro tylko tłomacz (bo Wołoszyn nie mówił po turecku) powtórzył te słowa wezyrowi, ten odrzekł do wszystkich:

— To podłe kłamstwo!... umyślnie namówili tego hultaja, aby mnie bezczelnie oszukać. Ale zaraz dam przykład, jak karzę niewiernych. Duko, hospodarze, natychmiast każ mu uciąć głowę, przed moim namiotem!

Wołoch stał przejęty bojaźnią nie wiedząc, jaki nań zapadł wyrok, ale gdy tłómacz objawił mu słowa wezyra, upadł na ziemię i głośnem łkaniem zaczął błagać litości.

Kilku paszów, a między niemi i sam Ibrahim, zaczęli przekładać wezyrowi, ale wszystko było napróżno i za chwilę przyniesiono na srebrnem półmisku głowę Wołoszyna, dla okazania, że rozkaz spełniony został.

Dziki w przystępach gniewu wezyr, a bardziéj chcąc przejąć większą bojaźnią wszystkich niechętnych ku sobie, wyrzekł z największą obojętnością, rzucając groźne spojrzenie w około:

— Tak ukarzę każdego, kto poważy sprzeciwiać się moim rozkazom! Ja jeden rządzę tu w imieniu sułtana, wola moja jest nieograniczoną, a za swe postępowanie przed nim tylko odpowiadać będę! — Jutro zdobędziemy Wiedeń, na zburzonych murach zatkniemy chorągiew wielkiego proroka, a ty Ibrahimie, który utrzymujesz, że król polski jest na czele sprzymierzonego wojska, sam najprzód rozprawisz się z niemi, i w tym celu przededniem jeszcze zajmiesz szczyty Kalenbergu, a ja osobiście przypuszczę szturm do Wiednia. Takie me rozkazy, a biada temu, kto nie wykona ich.

Skinął ręką na znak, że już ukończona wojenna rada i poszedł w głąb swoich namiotów, wezwawszy za sobą kilku zaufanych paszów, by im objawić rozkazy, jakim porządkiem mają iść do szturmu.

## VIII.

Cienie nocy zalegały w około, cisza panowała w tureckim obozie, tylko gdzie niegdzie odzywały się hasła stojących czat i niekiedy błysnął płomyk tlących ognisk, przy których krzątali się czuwający żołnierze. W ich twarzach widać było bojaźń i przerażenie, bo już poniesiono im rozkazy, że za nadejściem dnia zacznie się bitwa.

Ciche gwary zniechęconych żołdaków i głod, dający im się uczuwać, dosyć jawnie objawiały się wszędzie, a wieść, że król polski prowadzi mężne hufce, tyle razy sławą wojenną okryte, tém więcéj upewniała, że na tych równinach spotkają ich ciosy, tylekroć razy orężem polskim zadane.

Do tych wszystkich wieści, w rozmaitych odcieniach przedstawianych i różnie tłómaczonych, przyczyniało się także niepomału zniechęcenie do wielkiego wezyra, który jedynie sam sobą zajęty, dzień po dniu przepędzał w swoim seraju, na zabawach i u nóg nadobnéj Zelimy błagał o miłość dla siebie.

Z tego wpojono w łatwowierne, ciemne umysły wojska to przekonanie, że wezyr w zamian za względy pięknéj odaliski, przyrzekł jéj zgubić całą potęgę otomańską, aby przez to namiętnym swym żądzom dogodzić.

Taki był duch wojska, poduszczany przez nieprzychylnych dla wezyra dowódzców, a słowa te lotem błyskawicy przebiegły wszystkie namioty i ogólną niechęć wywoływały.

— Więc dla jednéj niewiernéj niewolnicy, — szeptało do siebie żołdactwo, — mamy wszyscy polecz haniebną śmiercią, lub pójść w pęta niewoli? Że ona oczarowała wezyra, my dla tego mamy znaleźć swój grób, by nie oglądać więcéj naszych żon, lub dzieci? Ażaliż tak nakazuje czynić nasz prorok, który mówi w alkoranie, że każdy prawowierny Turek powinien mieć wieczną nienawiść dla chrześcian! Nie bracia, tak się nie stanie, my nie pójdziemy na rzeź dla dogodzenia jego żądzom rozpusty!

Aby lepiéj poznać to całe zniechęcenie, posuńmy się ku namiotom Ibrahima paszy beglerbeja Budy, bo tam właśnie wielu dowódzców, korzystając z cieniów nocy, dąży do niego, by wspólnie naradzić się jak teraz czynić im należy.

Ibrahim, ośmdziesięcioletni starzec, choć przyciśnięty brzemieniem wieku, jednak zachował w sobie z młodzieńczych lat ogień. Jego siwa broda i takież włosy mile odbijały od rumianéj, zmarszczkami i kilku bliznami okrytéj twarzy, a w oczach długą, jeszcze czarną rzęsą pokrytych, przebijał się namiętny ogień syna Wschodu, al-

bowiem od młodzieńczych lat przywykł był prowadzić umiarkowane życie.

Nie zajmowały go uciechy haremu, bo wojenną sławę, tureckie dzianetty, damasceńskie szable i jatagany więcéj przekładał nad wdzięki najpiękniejszéj kobiety, a dziś choć wiekiem schylony, jeszcze z całą rzeźkością przywodził jeździe, oddanéj mu przez samego Sułtana w dowództwo. Te zalety zjednały mu imię wielkiego wojownika i całe wojsko tchnęło ku niemu niezwykłem przywiązaniem.

W nim też pokładało ono największe zaufanie, i dla tego każdy zwracał pilną uwagę na jego postępowanie. Wiedzieli także wszyscy, iż jest w nieporozumieniu z wielkiem Wezyrem, ztąd tem więcéj każdy czuł ku niemu ten pociąg, który zawsze i wszędzie zjednywa sobie prawdziwa, z osobistemi zaletami połączona zasługa. Daleki też był od owego okrucieństwa, jakim ciągle odznaczał się Kara Mustafa, owszem był raczéj łagodnym, pobłażającym, niż srogim.

Ibrahim jako prawdziwy Turek, święcie wierzył w proroka i alkoran, nie pijał wina, nie oddawał się żadnym zbytnim uciechom, ale czas zbywawający mu do pracy, poświęcał czytaniu ksiąg i w nich szukał prawdy mądrości.

Dziś, po tak jawnem przemówieniu się z Wezyrem, większą czuł potrzebę uciec się do tego chwilowego wytchnienia różnemi wrażeniami znużonego umysłu i zaczem zebrali się doń jego zaufani powiernicy, przerzucał dużą księgę koranu bogato oprawną.

Namiot Ibrahima, chociaż nie przedstawiał tego zbytku, jaki widzieliśmy u wezyra, jednakże i tu były rozesłane bogate kobierce, a na sofach poustawiane miękkie wezgłowia. Na hebanowym stole paliły się w kilku szczerozłotych lichtarzach jarzące świece, a kilka srebnych zapałek wyrzucały z siebie lekki dymek, powszechnie używanych na wschodzie wonności.

Pierwszy wszedł Selim Girej, han Tatarów, a Ibrahim podając mu rękę, posadził go obok siebie.

— I cóż przyjacielu, czy przynosisz mi jakie nowe wiadomości? — łagodnie zapytał się stary wojownik.

— To, że w téj chwili wezyr otoczony gronem czarownic tatarskich, w ich wieszczbach szuka ratunku dla siebie i za ich pomocą chce otumanić całe wojsko niezwyciężonego króla polskiego.

— Ha! ha! ha! — rozśmiał się Ibrahim, — on tylko zawsze z kobietami przestaje i to właśnie przyspieszy teraz jego zgubę. Dziś niech tryumfuje jeszcze, a jutro...

— My tryumfować będziemy z jego upadku.. — cicho poszepnął Girej do ucha paszy.

— Jednakże, przyjacielu, boli mnie bardzo, że jako prawowierny Turek, muszę nastawać na ngubę Wezyra, ale on jest dla mnie nieubłagazym wrogiem, któremu zawsze i wszędzie zaprzysiągłem srogą zemstę! Na brodę proroka zaklinam się, iż muszę widzieć jego poniżenie, bo człowiek ten nie zna granic w swéj dumie. I czy

wiesz Gireju, że on wydarł mi całe szczęście, jakie posiadałem na ziemi, a odtąd zaprzysiągłem się przeciw niemu. Zrobiłem ofiarę, bo musiałem słuchać rozkazu sułtana, a Mustafa, poniżając mnie, wywyższył siebie. Kiedyś byliśmy najszczerszymi przyjaciółmi, nie było nic pomiędzy nim a mną skrytego, ale niewiedziałem ani przewidzieć mogłem, że on będzie mym zdrajcą. Wiedział, iż posiadam w swym haremie cudnéj piękności czerkaskę, że ona mojem życiem, mojem wszystkiem na ziemi, bo i me serce dawniéj umiało kochać Gireju, i nie mogło być obojętnem na widok pięknéj kobiety. Ale czy należało mieć skrytość przed przyjacielem, który zdawał się radość i smutek razem ze mną podzielać? Jednakże ten mniemany przyjaciel korzystając z wolnego wstępu i zaufania, uwiódł moją najdroższą Adinę, by nią ozdobić harem sułtana. Ona wkrótce z rozpaczy umarła, a on utorował sobie drogę do stopnia Wezyra. Stary pasza ukrył twarz w swoich dłoniach, dwie łzy ściekły mu po licach, ale wkrótce hamując tę żałość, ocknął się, a ściskając za rękę tatarskiego hana, mówił daléj z zupełną spokojnością.

— Daruj mi to chwilowe wzruszenie, bo nie mogę wspomnieć o tem bez doświadczenia wszystkich cierpień na nowo; ale zemsta musi być za zemstę i pewny jestem, że nie odmówisz mi swéj pomocy. Wszak prawda Gireju, ty dopomożesz zemścić się staremu Ibrahimowi?

Ręka moja i cała horda jest na twe rozkazy paszo!

— Słuchaj więc, bo tylko tobie zwierzę się z tajemnicy, którą dla nasycenia méj zemsty ułożyłem. Mustafa ma cudnéj piękności niewolnicę, któréj nie oddałby za stósy złota. Ona jest wszystkiem dla niego, dla niéj nas i całe wojska gotów poświęcić. Dawno ją chciałem sprzątnąć za pomocą trucizny, ale dotąd nie udały się moje plany. Ten zaś, który teraz obrałem, pewny jestem, że niezawodny będzie. Jutro w pośród zamięszania największéj walki, każę wiernym moim ludziom sprowadzić ją podejściem, dla tego bądź blisko Wezyra, aby odwrócić jego uwagę, zwłaszcza iż on wiele na twéj wierności polega. Jakże, dotrzymasz mi słowa.

— Na moją głowę zaręczam... — odrzekł Girej, wskazując ręką na gardło.

— Dobrze, wierzę ci... a teraz każę przywołać wiernych mi sprzymierzeńców i wspólnie naradzimy się względem uskutecznienia odwrotu, aby jak z jednéj strony nie obudzić ku sobie podejrzeń, tak z drugiéj zasłonić nasze wojsko od zniszczenia, bo król polski nie lubi żartować mój Gireju.

Han roześmiał się szyderczo, a jego małe oczki błyszczały, jak oczy krokodyla, gdy zdobycz dla siebie upatrzy.

Pasza klasnął w dłonie, na to hasło wbiegł czarny niewolnik i na dane skinienie, niebawem wprowadził różnych dowódzców, oczekujących rozkazów Ibrahima.

Długo w noc ciągnęła się ta wojenna, tajemnicza rada, mająca na celu zgubę wielkiego Wezyra, a zaledwie han tatarski wrócił do siebie, zaraz skrycie wyprawił zaufanego powiernika do polskiego obozu, donosząc królowi, jaki jest duch wojska, i że on z całą swą hordą, będzie tylko bezczynnym widzem walki.

## IX.

Tego samego dnia 11 Września w sobotę, wojsko polskie lesistą okolicą przed nieprzyjacielem zakryte, stanęło już w miejscu ogólnego zebrania sprzymierzeńców, zająwszy bez wystrzału nagi szczyt Kalenberga, i stary zamek tegoż nazwiska śród tych gór panujący. W miarę nadciągania pułków, zajmowały one wyznaczone sobie stanowiska wzdłuż ciągnących się gór, oraz drogi i ścieżki pośród winnic, wznosząc zarazem baterye na wszystkich wydatniejszych punktach.

Przykazano wojsku wszelką ostrożność, zabroniono palić ognie, nawet nikomu nie wolno było palić tytoniu, a to pod gardłem za przekroczenie. Każdy żołnierz trzymał swojego konia w ręku, karmiąc go jeśli miał czem, a w braku paszy zgarniano liście w lesie i znużonym rumakom podawano.

Sam król wydawał wszystkie rozkazy, zaleciwszy największą spokojność swemu wojsku, aby nie obudzić uwagi niespodziewających się tak nagłego pochodu nieprzyjaciół. Zachodzące słońce ukazało wojsku obszerną nierówną płaszczyznę

otaczającą Wiedeń, a w pośród niéj przedstawiał się w panoramie cały obóz turecki, z swojemi złocistemi namiotami, na których u szczytu tkwił półksiężyc, godło ich wiary.

Zdala po za temi namiotami, z pośród dymem prochu okopconych murów Wiednia, wybiegała wydatna wieża świętego Szczepana, a całe to miasto mające zburzone i opalone wszystkie przedmieścia, przedstawiało się oczom, jakby olbrzymi kościotrup.

Jan III pomimo znużenia, osobiście rekognoskował wszystkie punkta, o ile to kończący dzień pozwolił dopełnić. Wszyscy dowódzcy odbierali wprost od niego rozkazy, i stósownie szykowali swe pułki. Nie rozbijano żadnych namiotów dla wojska, bo każdy polecone miał czuwanie, aby w przypadku napaści od nieprzyjaciela, wszyscy gotowymi byli do odparcia.

Książę Jabłonowski wielki hetman, jako prawdziwy przyjaciel króla, wszędzie towarzyszył mu, a kiedy już zupełnie noc zapadła, dopiero utrudzony Sobieski powrócił do swojego małego namiociku, który mu w lesie rozpięto.

Nie było w nim żadnéj wygody, tylko materac leżał porzucony na ziemi, mający służyć do krótkiego spoczynku, a cztery ściany z grubego płótna, osłaniały od silnego wiatru, z całą gwałtownością wiejącego.

Król znużony całodziennem utrudzeniem, usiadł na swym materacu, a w około niego stali najzaufańsi dwaj powiernicy, Stanisław Jabłonowski hetman wielki koronny i Matczyński ko-

niuszy koronny, a razem królewskiego dworu marszałek.

Jan III oparłszy głowę na ręku zadumał się nieco; przez ten czas dwaj powiernicy prowadzili cichą pomiędzy sobą rozmowę, a gdy jeden z pokojowców wniósł światło, król jakby ockniony ze snu, przemówił do hetmana.

— Przecież z łaski Boga i Najświętszéj matki Jego, stanęliśmy już na miejscu niepostrzeżeni od nieprzyjaciół, ale jutro czeka nas ciężka praca.

— Miłościwy królu, toć trzeba do niéj przygotować się wypoczynkiem, zwłaszcza po całodziennem dzisiejszem znużeniu, aby nowych sił nabrać do walki.

— A któż za mnie czuwać będzie mój hetmanie, kiedy pilnie uważać trzeba, jeżeli komendant Wiednia nie da nam umówionych znaków?

— My obydwaj z panem Koniuszym wyręczymy w tem Waszą królewską Mość należycie.

— Dziękuję ci kochany przyjacielu, ale i ty potrzebujesz odpoczynku i przygotowania się na jutrzejszą z bisurmanami okazyą.

Ale gdy Matczyński powtórzył nalegania, król przyzwolił, aby on czuwał przed namiotem, i pożegnawszy hetmana, położył się w ubraniu do krótkiego wypoczynku.

Kiedy już oddalił się książe, Matczyński zasiadł przed namiotem na małym taboreciku, po którym zwykle król wsiadał na konia i z kilku dworskiemi pokojowcami pilnie zwrócił baczność

ku Wiedniu, zkąd miały ukazać się umówione znaki, od komendanta hrabiego Staremberga.

Głęboka cisza zaległa w około, przerywana niekiedy zamienianem hasłem przez stojące czaty, lub parskaniem koni, będących w przygotowaniu na każdy rozkaz wodzów, pośród czuwających wiernych, walecznych żołnierzy.

Iskrzące gwiazdy błyszczały jak złote punkciki na niebie, a księżyc z poza drzew i gór ukazał blade swoje oblicze, posuwając się coraz wyżéj nad szczyty wyniosłych drzew, kalembergskie góry otaczających.

Koniuszy Matczyński, jeden z najzaufańszych powierników króla, i nigdy nieodstępny jego towarzysz siedząc na taborecie przy samych drzwiach królewskiego namiociku, przerzucał w ręku paciorki różańca, odmawiając ciche modlitwy, kiedy po godzinie oczekiwania wybiegła raca, puszczona z wieży świętego Szczepana, i rozwidniła w téj stronie ciemny horyzont nieba.

— Miłościwy królu, już pierwszy znak ukazał się; cicho ozwał się Koniuszy, niechcąc przebudzić króla jeśli zasnął, i nieprzerywać mu wypoczynku.

— Ha, więc wiedzą, że już przebyłem Dunaj; — odrzekł król czuwający dotąd.

Nie zadługo ukazał się drugi znak, a gdy Matczyński oświadczył to królowi, on odpowiedział, to wiedzą, żem od taborów ruszył. A kiedy o trzecim sygnale uwiadomił koniuszy, natenczas król, jakby mu spadł ciężki kamień z serca, wymówił z uniesieniem radości; niech będzie

Bóg pochwalony, to już o tem wiedzą, że tu na tem miejscu z wojskiem znajduje się.

Potem rozkazał król podać sobie ekscytarz, a nastawiwszy go na godzinę trzecią po północy, położył blizko siebie, i już spokojnie zasnął, utrudzony całodziennem znużeniem.

Matczyński rozkazawszy pokojowcom mieć najpilniejszą baczność na każde skinienie wielkiego bohatera, sam poszedł przekonać się, czy rozstawione czaty pilnie czuwają nad bezpieczeństwem, drogiéj mu osoby króla, a zapewniwszy się, że wszystko jest w należytym porządku, wrócił znów na swój taborecik. Okryty węgierską burką, wsparł na ręku ociężałą głowę i wkrótce sen skleił jego powieki.

Nastawiony ekscytarz zaczął dzwonić, król przebudzony zawołał:

— Chłopcy jest tam który?... a gdy żaden głos nie odezwał się, król nieco głośniéj powtórzył — wołając po imieniu na swego faworyta, pokojowca Djakowskiego, który okryty płaszczem siedział przy samych drzwiach namiociku, aby był na pierwsze zawołanie — hej Mikołajku, a chodźże waść tutaj.

Ocknąwszy się z głębokiego snu utrudzony chłopczyna, wbiegł natychmiast mówiąc: jestem na rozkazy Waszéj Królewskiéj Mości.

— Zaspałeś chłopcze, nie słyszałeś ekscytarza — król z łagodnością przemówił do swego ulubieńca — jak daléj — tak będziesz czuwał przy mnie, to nas obydwóch Turcy w niewolę zabiorą, wpierw zaczem opamiętamy się. Idźże

teraz pobudź księży kapelanów, żeby się do mszy gotowali, a z bębnów niechaj zrobią mensę, pod tym dużym dębem co tu zaraz stoi przy moim namiociku i rozbudź Matczyńskiego, bo i on zasnął pewnie z różańcem w ręku.

Jestem i czuwam Miłościwy królu, — odrzekł wchodząc w téj chwili Koniuszy — a dobry monarcha klepiąc go po ramieniu i pokręcając wąsa, co oznaczało, że był w dobrym humorze, przemówił z uśmiechem.

— Toć waszmość lepszy żołnierz od Mikołajka, prędzéj byś mnie obronił od napaści téj dziczy. A jakże tam na świecie?

Wiatr dmie okropny, miłościwy królu, wprost od tureckiego obozu, i podobno Wezyr, jako wielki czarownik puścił na nas takie licho, aby łatwiéj mógł otumanić wszystkich.

Król znacząco spojrzał na ulubieńca, zadumał się przez chwilę, a potem wskazując na obrazek Boga Rodzicy, zawieszony w namiociku, przed którym gorzała lampka oliwą nalana, — odrzekł z wrodzoną sobie powagą.

Ta Najświętsza Panna będzie nam obroną przeciw wszelkim czarom Wezyra, i ona doprowadzi nas do zwycięztwa.

I w téj saméj chwili wielki bohater ukląkł i zaczął odmawiać poranne modlitwy, których nigdy przy największem zatrudnieniu nie opuszczał. Koniuszy także poszedł za tym przykładem, i odmówiwszy krótką modlitwę, wyszedł cicho z namiociku, by nie przerwał modłów pobożnemu królowi, i w różne strony wysłał do

dowódzców bliżéj stojących zawiadomienie, że mogą zebrać się do króla, by razem z nim być przytomnymi, mającéj się odprawić świętéj ofierze.

Przez ten czas na zielonéj murawie pod rozłożystym dębem, ustawiono bębny wzięte od piechoty. Dwóch ogromnych pajuków z pochodniami w ręku, przyświecało téj skromnéj obozowéj uroczystości religijnéj. W największéj ciszy urządzono mensę zaraz obok namiociku króla i różni wodzowie zaczęli zbierać się w gromadkę i podając sobie bratnie ręce do uścisku, pozdrawiali się wzajemnie.

Jeszcze król nie skończył modłów w swym namiociku, kiedy wierny jego Matczyński wszedł ostrożnie, a za nim ostrożniéj jeszcze wsunął się mężczyzna po turecku ubrany.

Na jego głowie tkwił turban w sztuczne przeguby ułożony, krótka pąsowa kurtka naszywana złotemi taśmami, opięta gładko na kształtnéj kibici, a takiegoż koloru szerokie szarawary spadały na czerwone, rosą przesiąkłe bóty. Z jednéj strony u ściśniętych pasem bioder zawieszony był krzywy jatagan, a z drugiéj błyszczący kindżał, i dwa w srebro oprawne pistolety, rzemykiem przez plecy przywiązanym spojone. Twarz pełną, wydatną, ogorzałą, w kolor oliwkowy wpadającą, zdobiła czarna, krótko przystrzyżona broda, i takież długie obyczajem tureckim zakręcone wąsy, cała zaś śmiała postawa oznaczała człowieka, niepośledniéj zręczności, odwagi i siły.

Koniuszy stał w milczeniu, nie chcąc przerywać królowi, ale niedługo czekał, bo Jan III

opierając się na swojéj szabli, która w téj chwili służyła mu za podporę, powstał, a odwróciwszy się dla zobaczenia kto przyszedł, w jednym momencie dobył błyszczący oręż, chcąc rzucić się na owego Turka, w mniemaniu, że uniknąwszy podczas ciemnéj nocy baczności rozstawionych czatów, wkradł się w jakim zbrodniczym zamiarze.

Nadzwyczajna umysłu przytomność, oznaczająca zawsze Sobieskiego, nieodstąpiła go w téj chwili, a wniósłszy miecz do góry, — zawołał po turecku groźnym głosem.

— Na kolana poganinie!.... i wyznaj po co tu przyszedłeś?

To wszystko działo się tak szybko, niemal w jednéj sekundzie, iż Koniuszy nie mógł uprzedzić króla o tem, co jego serce wielką radością napełnić miało.

Turek upadł na kolana przed wielkim bohaterem, i w ojczystym języku, przemówił z rozrzewnieniem od zbytecznéj radości.

— To ja, Kulczycki, miłościwy królu, prawy chrześcianin i najwierniejszy sługa.

Wielki wódz, jakby silną, iskrą elektryczną ugodzony, podskoczył z radości, a podnosząc schylonego u swych nóg, odważnego młodzieńca, wyrzekł ze łzą w oczach.

— Wielki Boże! salwowałeś wiernego mi sługę, niech że ci będzie cześć i chwała za tę radość, którą w téj chwili me serce doznaje.

A kiedy przeszły te ich pierwsze wzruszenia, król rozkazał Matczyńskiemu przywołać księcia

hetmana Jabłonowskiego, aby i on jako pierwszy jego przyjaciel, podzielał z nim radość, i był świadkiem wieści, które odważny Kulczycki przyniósł z Wiednia, od komendanta hrabiego Staremberga.

Matczyński wyszedł spełnić oddany mu rozkaz, a król przemówił daléj do Kulczyckiego.

Opowiedz że mi teraz, mój wierny sługo, rzetelnie cały stan rzeczy, w jakiém położeniu znajdują się Wiedeńczycy?

Miłościwy Królu, według danego mi zlecenia, przebyłem w tym stroju cały obóz turecki, nie będąc przez nikogo zaczepiony i wczoraj w południe stanąłem przed bramami Wiednia. Skoro tylko dałem się poznać, kto jestem i od kogo przybywam, natychmiast wpuszczono mnie, i zaledwo mógłem przecisnąć się do samego komendanta, tak mnie wszyscy oblegali i ściskali, nazywając swym zbawcą, że im przyniósłem wiadomość, iż wielki, potężny Król chrześciański, przybył osobiście uwolnić ich od nieochybnéj zguby. Następnie krótkie pismo Waszéj Królewskiéj Mości wręczyłem hrabiemu Staremberg. Ucałował je kilkakrotnie, przyciskał do serca, i mówił przy mnie do obecnych jenerałów: „Król polski to nasz zbawca, nasz oswobodziciel od Boga zesłany.“ Potém rozpowiedziałem mu wszystko, co Wasza Królewska Mość rozkazałeś mi oświadczyć, aby nie upadli na duchu, i gdy dziś szturm przypuszczony będzie do obozu, aby do miasta zrobili silną wycieczkę, dla zrządzenia potrzebnéj dywersyi. Komendant przyrzekł święcie spełnić

ten rozkaz, inna w nim teraz zawrzała otucha, wszędzie powstał niesłychany zapał, a wielu wznosiło ręce do Boga, śląc modły za pomyślność Waszéj Królewskiéj Mości. Lotem błyskawicy jeden drugiemu podawał tę radosną wiadomość, a niezadługo lud upadły na siłach i wycieńczony głodem, biegł do świątyń pańskich, zasełać modły do Boga, uważając to za prawdziwy cud, zwiastowany w chwili ostateczności, albowiem dziś mieli kapitulować, bo wszelkie środki obrony okazały się już bezskutecznemi, zwłaszcza, że Turek podminować miał całe miasto, chcąc wysadzić je w powietrze. Głód do najwyższego stopnia okropności doszedł, chleba za żadną cenę nie można dostać od dawna, pospólstwo wyłapało nawet wszystkie szczury, używając ich za pokarm, nie przepuściło nawet psom i wszystkiemu, co tylko użyć było można do zaspokojenia dokuczliwego głodu. Król z politowaniem słuchał téj opowieści, wsparty na mieczu, zadumał się głęboko, a Kulczycki rozerznąwszy kindżałem swą kurtkę, wydobył z niéj starannie ukryte pismo hrabiego Staremberga, skreślone w krótkości z błaganiem o przyspieszenie oswobodzenia.

Jan III odczytywał je i w tę właśnie chwilę nadszedł wielki Hetman, uprzedzony przez Matczyńskiego.

No, panie Stanisławie, (wyrzekł król do wchodzącego), przybyliśmy w samą chwilę, bo już Wiedeń chciał kapitulować dzisiaj, tak bowiem Turcy dali im się we znaki, że z psów i szczu-

rów pieczyste przyrządzają. I powtórzył w krótkości to, co Kulczycki oświadczył.

Hetman uśmiechnął się podejrzliwie, gdy Sobieski powtarzał, jakie niosą dzięki dla Polaków i jak wielki w Austryakach obudził się przeciw nim zapał, a pokręcając wąsa, odrzekł z dworskością.

Zobaczemy to potém, Miłościwy Królu.

Mój hetmanie, — odparł Monarcha łagodnie, — od dziś Austrya inną życzliwością tchnąć dla nas będzie; my ich oswobodziciele, a oni teraz najwierniejszemi sprzymierzeńcami zostaną.

Dałby to Bóg, aby naprawdę ziściły się te słowa, które pochodzą z szczerego Waszéj Królewskiéj Mości serca. Ale ja wtenczas uwierzę temu, gdy osobiście przekonam się, — jak święty Tomasz, który za dotknieciem rany śmiertelnéj Jezusa Chrystusa, naszego Zbawiciela, dopiero uznał, że tylko już samo ciało ściska w swych objęciach. —

Król nic na to nie odpowiedział, bo nie przypadła mu do smaku ta mowa Hetmana, schmurzył nieco czoła, a Jabłonowski niechcąc go więcéj rozdrażniać, począł wypytywać Kulczyckiego, jakim cudem umknął, że Turcy nie schwycili go w tak niebezpiecznem zleceniu.

Mości Książe, — odpowiedział zapytany, — Polak wykonywa święcie rozkazy swojego Króla, tak i ja, wezwawszy Boga na pomoc, śmiało poszedłem spełnić dane mi zaszczytne zlecenie i nietknięty stawiłem się z powrotem. Każdy inny na mojém miejscu, spełniłby to samo, gdyby

Miłościwy Monarcha udarował go podobném zaufaniem.

Mowa ta spodobała się królowi, jak równie skromność, z którą powiedzianą była, a zwracając się do księcia, wyrzekł z powagą: „z takiemi ludźmi można całą Europę zawojować. Sprawiłeś się, mój Kulczusiu tak, że i Rzymianie w epoce największéj świetności szczyciliby się takim człowiekiem.“ A wyjmując sakiewkę napełnioną złotem, rzekł daléj: „Weź to odemnie jako tymczasowy dar, zaczém nie nadarzy się sposobność hojniejszego wynagrodzenia twych usług.

Ale Kulczycki nie posunął ręki do odebrania podawanego mu daru i odrzekł nieco drżącym głosem:

— Miłościwy Królu, nie dla złota zahartowałem me życie i mój czyn, wielki bohater nie powinien opłacać złotem. Już dosyć dla mnie zaszczytu, że uzyskałem pochwałę, a jeźli kiedy Wasza Królewska Mość przypomni sobie o mojéj usłudze, będzie jeszcze czas do wynagrodzenia mnie innym sposobem, nieubliżającym memu szlacheckiemu klejnotowi.

Zarumienił się król na tę mowę, schował napowrót kieskę do kieszeni, a podając rękę Kulczyckiemu, którą on z zapałem ucałował, wyrzekł łagodnie:

— Przepraszam Waszmość za moje uchybienie, bo takie usługi nie złotem płacić należy. Historya wspomni o nas obudwóch i każdy słusznie wówczas powie, iż nie powinienem był w ten sposób doświadczać charakteru takiego czło-

wieka. Nigdy ja nie zapomnę mój Kulczycki o tobie, i jeźli masz jakie żądanie, powiedz śmiało, a wszystko dopełnię.

— Oto Wasza Królewska Mość, odda mi wszystką kawę jaką znajdziemy w tureckim obozie, który dziś zdobędziem, a ja osiędę sobie między temi Niemcami w Wiedniu i muszę ich nauczyć pić ten wschodni trunek tak, jak nauczyłem się robić go, będąc w tureckiéj niewoli.

— Dobrze Kulczysiu, masz moje słowo.

Skłonił się Kulczycki, podziękował królowi za obietnicę i odszedł uszczęśliwiony łaskawem przyjęciem monarchy, a Sobieski potem odezwał się do hetmana.

— Trochę dziwak, ale wielkiéj poczciwości człowiek, zkąd jemu przyszło marzyć o kawiarni w Wiedniu, musieli mu tam głowę popsuć, a może też jaka gładyszka wkradła mu się do serca! i pokręcając wąsa chodził król zadumany, nie mogąc sobie wytłómaczyć tego żądania.

To chwilowe zadumanie przerwał królewicz Jakób, który wszedł ubrany w całym wojennym rynsztunku i salutując przed królem, wyrzekł stojąc w wojennéj postawie.

— Przyszedłem po rozkazy do Waszéj Królewskiéj Mości.

Roztkliwiło się serce bohatera na widok pierworodnego, czule przycisnął go do piersi, a zwracając się do hetmanna, przemówił:

— Panie Stanisławie, i on pójdzie za śladem ojca, bądź więc waszmość takim samym przyjacielem jego, jakim zawsze byłeś i jesteś

dla mnie. Wszak to moja krew i spodziewam się, iż te same uczucia, które mnie ożywiają, płyną również i w jego żyłach, i że zawsze tak samo postępować będzie. Hetman uścisnął podaną rękę króla, ale nic na to nie odrzekł, bo nie lubił królewicza równie z Maryą Kazimirą, której zdanie podzielał zawsze.

Król nie otrzymawszy odpowiedzi, zwrócił zaraz przedmiot rozmowy, a chcąc swemu pierworodnemu nagrodzić tę niechęć hetmana widocznie mu okazaną, klepiąc go po twarzy, mówił z ironicznym uśmiechem.

— Dziś mój kochanku zostaniesz nieodstępnie przy moim boku, będziesz brał ze mnie przykład, jak królowie polscy idą śmiało do boju na czele nieulękłych, zwycięzkich szeregów, abyś i ty w czasie, gdy ci Bóg dozwoli włożyć koronę, podobnie przywodził wojsku, które nigdy nie zapomni zasług twego ojca, aby je potem w całości przelać na syna, i w nim zapewnić sobie drogę do dalszéj sławy.

Nie chcąc zaś daléj prowadzić tak draźliwéj mowy, zapytał król Matczyńskiego, czy już przygotowano wszystko do mszy świętéj, a kiedy ten dał potwierdzającą odpowiedź, król zabierając się do wyjścia, wyrzekł:

— Pójdźmyż błagać Boga, aby nas natchnął zgodą, jednością i nie odwrócił swéj łaski w chwili, gdy cała Europa i wszyscy nieprzyjaciele mają zwrócone oczy na nasze postępowanie, bo musim im dowieść hetmanie, że Polak nigdy nie pyta się o liczbę, lecz gdzie są nie-

przyjaciele, a po bitwie dosyć będzie miał czasu na ich policzenie.

Król wziął za rękę królewicza, umyślnie, aby pokazać hetmanowi, że jemu należy się przed nim pierwszeństwo, a książe znając uniesienia Jana III. udał, iż nie uważa, i umyślnie zatrzymał się w namiocíku, jakby zapomniał tam czego. Ale Matczyński bystry na wszystko, poznał z twarzy hetmana, iż to ubodło jego dumę, i od tego też dnia widocznie też było, iż książe coraz więcéj ostygał w przywiązaniu do Sobieskiego. Niechęć ta jawniéj ukazała się późniéj, bo gdy po bitwie pod Parkanami, dwaj paszowie wzięci zostali do niewoli, król żądał wydania ich sobie, a hetman odmówił temu tego, dając za powód, że skoro jego chorągwie ich wzięły, przeto słusznie do niego należą.

Król nie chcąc narażać się na większe nieporozumienie, przestał nalegać, a potém owi dwaj paszowie wschodu długi czas siedzieli w zamku lwowskim na koszcie księcia, podejmowani z jego szkatuły i tam pomarli, a spodziewany wielki okup, zginął dla hetmana, czemu sam król miał przeszkodzić i potem śmiał się serdecznie, dziękując niby hetmanowi, że go od ponoszenia kosztów zasłonił.

## X.

Pierwszą mszę odprawił dominikan obserwant Skapowski, a po jéj ukończeniu, król wrócił do namiociku dla napisania listu do swéj najukochańszéj Marysieńki.

Jeszcze daleko było do dnia, a już działa tureckie poczęły odzywać się szturmując nocną porą do Wiednia. Gdy król skończył pismo, dano mu znać, że kapucyn Włoch Marko d'Aviano od Ojca św. z Rzymu przysłany, dowiaduje się, o któréj godzinie ma odprawić mszą św. w starym kościele Leopoldsbergu.

Jan III oświadczył, że stawi się punkt na godzinę ósmą i sam będzie służył do mszy świętobliwemu kapłanowi. Już dnieć poczynało, król zrobił krótką wojenną z wyższemi dowódzcami naradę, powydawał rozkazy w jakim porządku pułki uszykować się mają do bitwy, jeśli ta rzeczywiście będzie mogła być stoczoną, bo ze wszystkiem nie był jeszcze zdecydowany, aby siłą uderzyć na tak przemagającego nieprzyjaciela.

Polacy pod dowództwem wielkiego hetmana Jabłonowskiego zajmować mieli prawe skrzydło, lewe oparte o Dunaj, składało się z piechoty cesarskiéj i saskiéj w trzech dywizyach. Hrabia Kaprara mając pod swemi rozkazami Ludwika księcia badeńskiego i księcia Salmo, dowodził pierwszą dywizyą. Na czele drugiéj znajdował się Herman książe badeński, ten, któremu przypisywano sławę wycelowania armaty na Tureniusza; pod jego rozkazami byli: książe Goi i Ludwik Neuburgski. Elektor saski dowodził trzecią dywizyą, złożoną z wojsk posiłkowych. Wszyscy ci wodzowie byli znakomici i od dawna wyćwiczeni w bojach. Groźne to lewe skrzydło, miało iść w kierunku na Wiedeń, a przy niem znajdowała się jazda walecznego Lubomirskiego. Ogólne dowództwo nad całem skrzydłem, otrzymał książe Lotaryngski, który w tym dniu w kirys od stóp do głowy był przybrany, a koń jego dzielny i rosły, w karacenę ustrojony.

Środek składały dwie dywizye, to jest: cała jazda cesarska i bawarska, dowodzone przez księcia sasko-lauenburgskiego, wraz z hrabią Karatfu, baronem Bareith, hrabią Godola, baronem Munster, margrabią de Born i cała piechota bawarska z Frankonii i obwodów, którą dowodził książe Waldek. Elektor bawarski postanowił walczyć jako prosty ochotnik, a w pośród szeregów znajdowało się także i trzech księżąt Anhalt, trzech wirtembergskich, dwóch hanowerskich, dwóch holsztyńskich, książe Eisenach i książe Hessen-kaselski. Do tych wojsk, z ca-

lych Niemiec zgromadzonych, niedostawało tylko samego cesarza Leopolda, ale w jego miejscu król polski był Agamemnonem, a razem Achillesem całéj téj wyprawy.

Piechota polska składała się z dwunastu pułków i na ośm brygad podzieloną była to jest: na prawe i lewe skrzydło. Na prawem stały: brygada I, Ernesta Denhoffa kasztelana wileńskiego, generał-leitnanta, składająca się z pułku tegoż Denhoffa pod dowództwem pułkownika Bernfejer, i z pułku królewicza Jakóba, pod dowództwem pułkownika Seswegier. Brygadę tę nazywano królewską.

Brygada II Stanisława Morsztyna, chorążego zatorskiego, składająca się z pułku tegoż Morsztyna, pod dowództwem pułkownika Gerarda Tygenhoff i majora Krystian, i z pułku Wacława Szczuki stolnika wiskiego, pod dowództwem pułkownika Weretycz.

Brygada III Eliasza Łąckiego, chorążego ziem pruskich, składająca się z pułku tegoż Łąckiego, pod dowództwem pułkownika Franciszka Lanckorońskiego starosty stolnickiego, i z pułku Wacława Leszczyńskiego, wojewody podlaskiego, pod dowództwem Tobiasza Knobelsdorf.

Brygada IV Fryderyka Grebena, składająca się z pułku Grebena, pod dowództwem podpułkownika Gutry, z pułku Jabłonowskiego hetmana wielkiego koronnego, pod dowództwem pułkownika Berem, i z pułku Krasińskiego, referen-

darza koronnego, pod dowództwem pułkownika Żorawskiego. Lewe skrzydło zajmowały:

Brygada I. Pułkownika Butlera, starosty bydgoskiego, składająca się z pułku tegoż Butlera, i z pułku Kątskiego, generała artyleryi.

Brygada II. Jana Denemarka, pułkownika, składająca się z pułku tegoż Denemarka, podpułkownikiem był Saken, z pułku Potockiego, kasztelana krakowskiego; z pułku Lubomiskiego, z pułku hrabiego de Meligny, pułkownikiem był Kożuchowski.

Brygada III. Tomasza Zamojskiego, kasztelana halickiego, składająca się z pułku tegoż Zamojskiego; pułkownikiem był Dobczyc, i z pułku Gnińskiego, wojewody czernichowskiego, podpułkownikiem był Frank.

Brygada IV. Pułkownika Krejzera, składająca się z pułku Wielopolskiego, kamelarza wielkiego koronnego; z pułku Sieniawskiego, hetmana polnego koronnego, pułkownikiem był Asferus i z pułku Denhoffa, wojewody pomorskiego. Całą artyleryą dowodził Kątski, kasztelan lwowski, pułkownikiem był Fink, a majorem Rudkowski. Naczelne dowództwo nad zjednoczonemi wojskami objął dzielny nasz bohater, król Jan Sobieski.

Kiedy już dzień się zrobił, wszyscy wodzowie byli na wyznaczonych im miejscach, a król, przybrany w czarny, grodetorowy kontusz, wdziany na biały, jedwabny żupan, dosiadał podanego mu dzielnego rumaka płowéj maści, nazywanego powszechnie pałaszem. Poprzedzał króla giermek,

puklerz w kształcie herbowéj tarczy (Janiny) niosący, i chorąży, który dla oznaki, że przy królu znajduje się, do proporca swego przypiął pióro sokole. Królewicz Jakób, nie odstępując ojca, siedział na rączym koniu, miał szyszak na głowie, zbroję na piersiach, szpadę u boku, a pod udem, według dawnego zwyczaju, szablę krótką i szeroką.

Król zmierzał prosto ku kościołowi Kamedułów, zkąd dawały się słyszeć ręczne strzały, gdy wtém galopem nadbiegł młody Eugeniusz Sabaudzki, donosząc Sobieskiemu o utarczce, którą rozpoczął się ów wielki dzień w historyi świata.

Hrabia Lesle z dywizyi księcia Hermana Badeńskiego, miał jeszcze z wieczora wydany rozkaz posunięcia się pod sam klasztór Kamedułów aż po krawędź lasu, dla obwarowania się tam i urządzenia bateryi, aby przeciąć środek wojsk muzułmańskich i ze wszystkich stron górować nad niemi.

O świcie Spachowie dostrzegli roboty żołnierzy cesarskich i Sasów, przeto z okrzykiem rzucili się, iżby zniszczyć to przedsięwzięcie. Hrabia de Fontaine, a wkrótce książę de Krua z tejże dywizyi zaczęli potyczkę, w któréj sam książę ciężko raniony został, a książę Maksymilian z tegoż domu poległ.

O godzinie osméj z rana bitwa coraz stawała się żwawszą i krwawą na przestrzeni Kloster-Neuburg i w niéj dragoni sabaudzcy księcia de Krua, pułk saski, oraz oddział jazdy Lubomir-

skiego okryły się sławą. Karól, książę Lotaryngski, nadbiegł do króla po ostatnie rozkazy. Było to blizko starego kościoła Leopoldsbergu; zsiadłszy z koni, wzięli się obadwaj wodzowie pod ręce, spiesząc do owéj świątyni błagać społem o błogosławieństwo Władzcy wszech świata.

Stale echo dzwonka, wzywającego wiernych na modlitwę, rozlegało się ze szczytu stroméj góry i każdy chrześcijanin spieszył, aby być przytomnym świętéj ofierze. Elektorowie, książęta, wszyscy pierwsi wodzowie, którzy jeszcze nie należeli do bitwy, cisnęli się do téj świątyni.

Wysłany od Inocentego XI z błogosławieństwem dla obrońców krzyża ojciec Marko d'Aviano, kapucyn, żarliwy, wymowny i szanowany od wszystkich, począł odprawiać mszę świętą, a sam król służył mu do niéj.

Sobieski, klęcząc u stóp ołtarza, z założonemi rękami modlił sie gorąco, przyjął komunią świętą, a potém wstał, aby dać oręż synowi swemu Jakubowi. Wtedy Marko d'Aviano stanął w progu kościoła z krucyfiksem w ręku, a błogosławiąc wojsko, mówił:

– Zwiastuje wam przez stolicę apostolską, że jeżeli macie ufność w Bogu, zwyciężycie. — A gdy wszyscy odpowiedzieli: „mamy!“, kazał kilka razy powtórzyć za sobą Jezus Marya!

Po skończonym obrzędzie religijnym król dosiadł konia, a zostawując kapucyna modlącego się na stroméj górze, powiódł wojsko wśród przepaścistych wąwozów ku równinie przeciw tureckiemu obozowi, mówiąc:

— Idźmy teraz śmiało, Bóg nas wspomoże!

Wojsko chrześcijańskie zstępowało pięciu kolumnami z owych gór w największym porządku; pierwsze oddziały co sto kroków zatrzymywały się, oczekując na tych, co opóźniali się, już to w skutku trudnéj przeprawy, już znów dla tego, iż musieli wznosić baterye, mające gromić nieprzyjaciół.

Pierwszy wał na prędce przez Turków usypany dla zamknięcia sześciu dróg wiodących z gór na równinę, zdobyty został po krótkiéj żwawéj utarczce. Przy każdym zakręcie toczono bój zawzięty. Spachowie pozsiadali z koni do walki, to znów dosiadłszy ich szukali nieco daléj dogodniejszego miejsca do potyczki. Nieobwarowawszy się tam kędy sama natura najlepsze do tego przygotowania uczyniła, wikłali się w ciasnych wąwozach wśród lasów i winnic, a nie mając pieszego żołnierza, któryby stawić mógł opór nastawającéj piechocie, cofali się z wszech stron w nieładzie.

O godzinie 10téj z rana pułki cesarskie wyszły już były z wąwozów, w miarę jak pozwalała przestrzeń miejsca, kolumny stawały w szyku bojowym i wojsko posuwało się trzema liniami. Leslc najprzód, potem książe de Krua, będący w szeregach bez względu na odniesioną ranę; Kaprara, książe Sasko-lamenburgski, zatknęli swe chorągwie na równinie. Ich skrzydło przypierało do Dunaju, prawe zaś łączyło się z księciem Waldek, który wkrótce spuścił się także z gór na równiny.

Jan III rozkazał księciu Lotaryngskiemu zatrzymać się i czekać na Polaków, którzy już przez wąwozy Wenesbergu mieli znacznie dłuższą drogę do przybycia. O godzinie 11éj ukazały się hufce polskie, powitały je orły cesarskie, a okrzyki niech żyje król Jan Sobieski przebiegały wszystkie szeregi chrześciańskiego wojska.

Król i przedniejsi wodzowie około niego zgromadzeni, zsiedli z koni, aby posilić się pod drzewem; upał nieznośny dokuczał, a żołnierze nie spuszczając z ręki muszkietu lub proporca pożywali co król miał z sobą. W samo południe wszystko już stało gotowe pod bronią i mimo ogromnego gorąca wojsko postępowało naprzód, tworząc półkole na tym ogromnym amfiteatrze, który odkrywał ich teraz wybornym porządku, i w całym blasku przed oczami zdumionych Turków ukazał. Sprzymierzeńcy, postępowali przodem, a Jan III przebiegał od jednéj kolumny do drugiéj zachęcając żołnierzy. Mówił do każdego rodowitym językiem, po niemiecku do Niemców, po włosku do Włochów, po francuzku do Francuzów, którzy w znacznéj liczbie zapełniali szeregi.

W chwili, gdy zatrzymały się chrześciańskie wojska dla krótkiego wytchnienia, Turcy korzystając z tego, pozajmowali obronne stanowiska, wzmacniając je wszędzie posiłkami. Wypadło więc nową i żywszą toczyć walkę. Wioska Neudorf, położona pod osłoną rowów i kamienistego gruntu winnic, a daléj i druga pozycya, bronione były z zaciętością; ale krzyż odniósł zwycięstwo,

Ibelgstadt następnie stawił silny opór, lecz husarzy polscy z proporcami w ręku rzucili się na hufce tureckie i rozproszyli je. Uniesieni zapałem zwycięztwa posunęli się aż pod główną armię muzułmańską i w tym niepohamowanym zapędzie, młody Potocki, kasztelanic krakowski, Modrzejowski, podskarbi nadworny i pułkownik Asferus polegli.

Król widząc niebezpieczeństwo, wysłał tym pułkom na pomoc księcia Waldek i Bawarczyków, a sam zaraz wystąpił na czele drugiéj linii i dragonów cesarskich. Starcie się było okropne, przełamani wszędzie muzułmanie na nowo stawali do walki, ale wojsko chrześciańskie wszędzie ich przemogło i zbliżyło się pod same okopy obozu. Tu rozstrzygnąć się miał los bitwy.

Przystępu do tego obozu, na którego przepych pożądliwém okiem poglądali żołnierze, broniła głęboka fosa z szańcem usypana. Samym środkiem armii dowodził osobiście Kara Mustafa, wielki Wezyr. Skrzydło będące naprzeciw cesarskich pułków i przytykające do Dunaju miało na swém czele walecznego i biegłego Kara Mechmed Paszę, który odznaczył się wiele podczas wojen ukraińskich, i drugim, zasłaniającym armią od strony gór styryjskich, dowodził stary Ibrahim. Siedmiogrodzanie, Wołosi, Arabowie, Tatarzy i część Jańczarów, zajmowali pagórki, które usypaniem wałów wzmocniono, rozstawiwszy na nich silną artyleryą.

Gdy tak w szyku bojowym stały naprzeciw siebie dwie potężne armie wojska, król znajdując

się na czele w samym środku, wziąwszy perspektywę, przezierał tureckie szyki, a z dala dostrzegłszy samego Kara Mustafę, który w téj chwili z dwoma synami pod karmazynowym namiotem popijał kawę, kazał przywołać do siebie rezydenta od chorągwi, królewicza Aleksandra.

Skoro ten przybiegł, wielki wódz wyrzekł:

— Biegnij waszeć do chorągwi swojéj, aby tu pan porucznik natychmiast z nią przychodził.

A kiedy za chwilę spełniony został ten rozkaz i porucznik Zwierzchowski i podkomorzy Łomżyński stanął przed królem mówiąc:

— Przyszedłem po ordynans Waszéj Królewskiéj Mości.

Król dając mu w rękę perspektywę, wskazując mu miejsce przed chwilą rekognoskowane, odezwał się:

— Widzisz waszmość ten karmazynowy namiot panie Poruczniku?

— Widzę miłościwy królu.

— Otóż to tam stoi sam wezyr; a przyłożywszy znów perspektywę dodał: dopiero rozciągają sznury sejmanowie, rozkazuję więc waszmości panie poruczniku, abyś tam z swoją chorągwią skruszył kopie.

Porucznik odebrawszy ten rozkaz, uszykował swoją husarską chorągiew z dwustu ludzi złożoną i złożywszy kopią na pół ucha końskiego, czekał ostatecznego znaku, mającego się dać przez króla. Sobieski rekognoskując ciągle nieprzyjacielski obóz, stanąwszy przed frontem uszykowanéj chorągwi, mówił daléj do porucznika:

— Jeśli waści naprze nieprzyjaciel, nie nawódź go tu na mnie, ale salwuj się tą oto przerwą, idącą po prawéj ręce do namiotu wezyra, a ja zobaczę co daléj czynić wypadnie. Teraz zaś w imię Boże ruszaj waść naprzód!

Zakomenderował porucznik, a jego dzielni husarze spięli niecierpliwe rumaki; ziemia zadrżała pod tententem kopyt, a wzniesiony tuman kurzu ukrył ich na chwilę przed wzrokiem w milczeniu patrzącego wojska, a razem zdumionego, w jakim zamiarze król poświęcił na oczywistą zgubę tych walecznych żołnierzy. Z pośrodka nich nie kiedy tylko błysnęła rozpuszczona wpół czarna a w połowie żółta chorągiew, na któréj biały orzeł srebrem był naszywany.

Kiedy wśród tumanu kurzu nie można było nic więcéj rozeznać, król odjąwszy perspektywę, dobył z zanadrza mały z relikwiami krzyżyk, zrobiony misternie z drzewa, na którym umęczono Chrystusa i żegnał nim mówiąc:

— Boże Abrahamów, Boże Izaaków, Boże Jakubów zlituj się nad ludem twoim.

Turcy zdumieni tak szczególną garstką walecznych odwagą, widząc, iż prosto pędzą do namiotu wielkiego wezyra, ustępowali się im z drogi, w tém rozumieniu: iż oni przeszli na ich stronę, ale gdy dotarli pod sam namiot i z okrzykiem zwycięzców, rzucili się z kopiami w tłum otaczający wezyra, natenczas z dobytemi szablami porwano się na ową garstkę, która spełniwszy rozkaz króla teraz jedynie w szybkim odwrocie szukać musiała ocalenia.

Król i wszyscy stojący obok niego wodzowie, tudzież całe czoło armii śledzili okiem za tą garstką walecznych, która według ich mniemania nie miała powrócić już do nich, ale gdy za chwilę opadł tuman kurzu, ukazała się znów ta sama chorągiew, a za nią tłumy tureckich jeźdźców, usiłujące zgnieść owych walecznych.

Kiedy już zbliżali się ku armii, zadziwionéj tem cudownem ocaleniem rycerzy, za straconych na zawsze poczytanych, Turcy zaprzestali dalszéj pogoni, a Sobieski dumny tak wielkiem odznaczeniem się swoich żołnierzy, z zadowoleniem poglądał na zgromadzonych obok siebie wodzów cesarskiego wojska, a kiedy nieustraszony Zwierzchowski stanął przed nim okryty kurzawą na spienionym rumaku i zalatując wyrzekł:

— Sprawiłem się według rozkazu Waszéj Królewskiéj Mości.

Na to odrzekł z radością wielki bohater:

— Chwała niech będzie Panu Bogu, że waści żywo i zdrowo pozwolił powrócić; a co za szkodę waść masz między ludźmi?

— Jeszcze nie mógłem pomiarkować się, — odrzekł waleczny rycerz — ale zdaje się, że tylko pięćdziesięciu nie dostaje.

— Żebyś mi waść po haśle raport uczynił regestrem, z imienia i przezwiska kto zginął.*)

*) Kiedy później tenże porucznik po szczególe czytał królowi regestr, a między innemi wymienił towarzysza Wojnę, król miał wyrzec: „To i pan Wojna zginął?“ — „Zginął!“ — odrzekł porucznik, a król na to: „Wojna nie rodzi ludzi tylko pani Wojnina.“ Tenże Wojna gdy

A potem zwracając się do wodzów czekających na ostatnie rozkazy, wyrzekł Sobieski:

— Ha, teraz możemy śmiało wziąść się do dzieła nie potrzebujemy odkładać do jutra tego, co dziś możemy jeszcze dokonać.

I wydawszy w krótkości potrzebne rozporządzenia, kazał piechocie zdobyć wzgórze, panujące nad stanowiskiem środka armii muzułmańskiéj.

Hrabia de Maligny na czele nieulękłéj piechoty śmiało wykonał rozkaz i pierwszy wdarł się na redutę. Na ten niespodziewany atak Kara Mustafa skupił obok siebie całą piechotę stojącą na lewem skrzydle, tym sposobem odsłonił swoje boki, a obrot ten zmieszał całą linię.

Spostrzegłszy to król, zawołał, teraz zginęli! a posełając rozkaz księciu Lotaryngskiemu, aby nagle uderzył na środek, gdy on sam uderzy na całą masę niesprawioną jeszcze do szyku.

Jan III na czele walecznych hufców rzucił się naprzód, wprost ku obozowi wielkiego wezyra.

Husarze królewicza Aleksandra trzymający czoło kolumn, z okrzykiem biegli w ślad za swoim królem, a za niemi pędziły hufce pod dowództwem wojewodów i najznakomitszéj szlachty polskiéj. Przebyli fosy i rowy, z impetem uderzyli na muzułmanów, rozłączając na dwie części zmięszane ich szyki. Starcie to tak gwałtowne

był poprzednio posłem na sejmie, chciał zerwać takowy z przyczyny, że król pragnął wnieść, aby rzeczpospolita przyznała królowéj remuneracyą. A ztąd niektórzy złośliwi wnosili po tém, iż król pamiętając tę obrazę, umyślnie na stracenie oddał tę chorągiew.

było, że prawie wszystkie proporce zdruzgotały się, a w tem pierwszym spotkaniu paszowie Alepu i Sylistryi zginęli.

Wielki hetman Jabłonowski aż pod góry Styryjskie zapędziwszy Tatarów, uderzył na czele prawego skrzydła, i z jego ręki czterech paszów śmierć znalazło.

Książęta zaś Lotaryngski i Waldek, obserwując chrześcijańskie posiłki otomanów, wahające się pod dowodzącemi hospodarami, okrążyli ich obóz, tak, że Maurokardato naczelny tłomacz uciekł aż do namiotu Kara Mustafy.

## XI.

Kiedy wrzała najzaciętsza walka, i wojsko chrześciańskie zewsząd otaczało turecki obóz, wielki wezyr nie tracąc jeszcze nadziei, całą masą swoich zastępów postanowił zgnieść jak mówił garstkę, oślep na swą zgubę idącą. Przyłożywszy lunetę do oka długo patrzył w stronę, gdzie han tatarski stojący dotąd bezczynnie, miał oskrzydlać nieliczne zastępy bohaterów a następnie Ibrahim pasza, Beglerbej Budy z całą jazdą Spahów i Wołochow, tudzież Kitaj na czele jańczarów, mieli dokonać zupełnego zwycięztwa.

— Ha, dziki psie tatarski, głową swoją przypłacisz nieposłuszeństwo, — wyrzekł wielki wezyr do otaczających go kilku paszów, a zgrzytając zębami, rzucał piorunującym wzrokiem w około i w uniesieniu gniewu, szarpał swoją siwą brodę.

— Zaklinam się na proroka — mówił daléj, — że temu psu tatarskiemu sam zetnę głowę mym jataganem, i dam z niego przykład, jak karzę tych, co nie szanują moich rozkazów!

Kazał podać konia uginającego się pod bogatym rzędem, złotem i kamieniami obciążonym

a dosiadłszy go, biegł w szeregi jańczarów, by na ich czele stawić jeszcze śmiałe czoło rozpaczniej odwadze przeciwników; lotem błyskawicy mijał strwożone szeregi wojska, stojącego w nieładzie. Na ich twarzach malowała się rozpacz i bojaźń, albowiem wszyscy upatrywali zesłaną karę nieba na wielkiego wezyra, które to echo jak iskra galwaniczna w jednéj chwili przebiegła całe wojsko.

Kara Mustafa bystrym i razem przenikliwym wzrokiem dostrzegłszy tę niechęć i zupełne zwątpienie, ujął chorągiew proroka w jednę rękę, a do drugiéj z dobytym błyszczącym jataganem, jak lew rozjuszony pędził na arabskim biegunie, pośród strwożone szeregi, by w nich ducha odwagi ożywić. Ale usta jego żołnierzy zaniemiały teraz, nawet cudownej chorągwi widok nie robił na nich wrażenia, i stojąc pogrążeni w grobowem milczeniu, zdaje się, że czekali tylko sposobnéj chwili, aby pójść w rozsypkę, ratując się spieszną ucieczką.

Huk dział zewsząd rozlegający się, pomnażał jeszcze więcéj tę bojaźń, którą szeregi otomańskie przejęte były, a wielu dowódzców wezyrowi niechętnych, upatrywali teraz jedynie sposobności, aby dać pohop do ogólnéj ucieczki. Ale jeszcze większa część wojska była poświęconą dla Kara Mustafy, ta mianowicie, którą przywodziło kilku paszów z duszą i ciałem mu oddanych. W nich też wielki wezyr pokładał całą nadzieję, i oni z swem wojskiem wstrzymywali cały zapęd toczącéj się bitwy. Oczekując co chwila na mające na-

stąpić oskrzydlenie nieprzyjaciela, by tym sposobem zabrać mu tył i sprawić ogólne zamięszanie, napróżno wytężali swe siły, aby oprzeć się coraz mocniejszym atakom.

Ale spodziewana dywersya nie nastąpiła, bo większa masa wojska stała w bezczynnym nieładzie, a rozkazy wezyra wydawane ich dowódzcom, żadnego skutku nie odnosiły i tylko sami jańczarowie z pomocą kilku paszów wstrzymywali całą potęgą Jana III.

W takim rozpaczliwem położeniu, Kara Mustafa pokładając swe nadzieje w jańczarach, w owéj jeździe, wyborem całego wojska będącéj, pobiegł ku nim, a zachęciwszy ich do wytrwałości i odwagi, rozkazał uderzać im na wszystkie strony, by odeprzeć zewsząd nacierającą jazdę polską. Potém zawrócił do Ibrahima paszy stojącego bezczynnie na czele Spachów i Wołochów. Koń jego żując złote wędzidła, parskał białą pianą i z nozdrzy zdawało się, że ogień bucha, bo takie kłeby gorącéj pary wyrzucał z siebie znurzony arabczyk.

— Żołnierze! patrzcie na ten znak wielkiego proroka, powierzony mi przez Sułtana — wołał ochrypłym głosem Kara Mustafa, — w jego imieniu zaklinam was, abyście się pomścili, zgnietli garstkę zuchwałych chrześcian, a za każdą przyniesioną mi głowę dam dziesięć piastrów nagrody. Idźcie więc naprzód, ja pójdę z wami na czele!

I wspiął rumaka złotemi ostrogami, koń

rzucił się naprzód jak szalony, ale jazda stała niewzruszenie w ściśniętych szeregach.

Twarz wielkiego wezyra okryła śmiertelna bladość, zgrzytał zębami ze złości i odwróciwszy się napowrót przybiegł do Ibrahima paszy i mignąwszą mu przed oczy błyszczącym jataganem wyrzekł w największem uniesieniu:

— Także to słuchasz moich rozkazów i całe twe wojsko? W téj chwili twoja głowa spadnie na ziemię, a w krwi, którą wytoczę, nasycę mą zemstę dla ciebie.

Ale owe pogróżki nie zastraszyły Ibrahima, najpród roześmiał się szyderczo, a potém, podniósłszy swój hartowny jatagan dla odcięcia ciosu, gdyby go nań wezyr miał wymierzyć, wyrzekł całą pogardą:

— Nie słucham dziś twych rozkazów, bo chcesz zgubić całe wojsko i pomnij, czém przypłacisz swą zarozumiałość. Na jedno moje skinienie wszyscy pójdą w rozsypkę, bo dla twojéj nieograniczonéj dumy ja nie poświęcę wyboru wojska, aby tu śmierć znalazło.

Na tak śmiałą, z granic posłuszeństwa wychodzącą odpowiedź, śmiertelny dreszcz przejął wezyra, owego wielowładnego pana, na którego jedno skinienie postrach śmierci szerzył się dokoła. Poznał w téj chwili, że jego władza jest jak owo bezużyteczne narzędzie w ręku, nie dające się już użyć w żadnéj potrzebie. Jednakże Kara Mustafa nie chciał okazać w obliczu wojska, że jego znaczenie, jako pierwszego po sułtanie, przestało już być wszechmocnem, a z dru-

giéj strony, wiedząc, jaką Ibrahim czuł ku niemu nienawiść i znając nadto nieograniczony jego wpływ w wojsku, powściągnął nieco swéj dumy, lecz odrzekł z całą pogardą obrażonego pana:

— I ty to śmiesz do mnie, namiestnika sułtana, tak zuchwale przemawiać? Ażaliż nie boisz się, iżby wielki prorok w téj chwili język twój na zawsze oniemiał? Czy myślisz, iż braknie mi wiernych, którzy wykonają me rozkazy, by twa głowa tarzała się u stóp moich? Za chwilę ukarzę cię i dam surowy przykład innym, jak rozkazy moje ślepo wykonywać należy.*)

A nie czekając odpowiedzi, wspiął konia i jak strzała popędził ku swoim namiotom.

Teraz dopiero poznał wielki wezyr całą okropność położenia swego; widział, że wojsko wypowiedziało mu posłuszeństwo, że nic już liczyć nie może na Ibrahima paszę. Ale Kara Mustafa, pomimo iż widział wszystkie następstwa swojego położenia, jednym śmiałym zwrotem chciał uchronić całą swą armią od widocznéj zguby, a ukarawszy okazaną mu dla jego rozkazów nieuległość, potém na innem miejscu postanowił stoczyć korzystniejszą walkę, skoro rozprzężenie w zwykłe karby wojennej karności przywróci. Taki w téj chwili ułożył sobie plan Kara Mustafa i spieszył go wykonać natychmiast.

Dumny ten człowiek, pragnący, aby każdy drżał na jego skinienie, postanowił nieodwołalną

*) Tenże sam Ibrahim później, po bitwie pod Parkanami, z rozkazu wielkiego wezyra zamordowany został.

zgubę Ibrahima paszy, Selim Gireja, hana tatarskiego i wszystkich innych, o których wierności miał jakiekolwiek podejrzenie. W uniesieniu swojem już zdawało mu się, że patrzał, jak dla nasycenia jego zemsty rzucono mu pod nogi ich głowy. Ale obok tego przewidywał Kara Mustafa, że i jego głowa w równem być może niebezpieczeństwie, i że jedynie niezachwiana przytomność i całe energiczne postąpienie będzie go mogło ocalić.

Choć pochylony wiekiem i zbytkiem uciech przesycony, jednakże wielki wezyr zachował jeszcze całą przytomność umysłu, jaką w tak stanowczéj dla niego chwili mieć należało. Cały swój zamysł ukrył na dnie duszy, odkładając zemstę do innéj, sposobniejszéj chwili i postanowił utrzymać się tylko w stanowisku wodza, mogącego jeszcze stawić groźny nieprzyjaciołom opór.

Z takiem postanowieniem stanął przed swym namiotem, w chwili, kiedy już wojska nieprzyjacielskie wdarły się do okopów tureckiego obozu.

Ponowiwszy rozkaz jańczarom, aby o ile można wstrzymywali zapęd całą masą zewsząd nacierającego króla polskiego, pragnął teraz ocalić przynajmniéj swe kosztowności i harem. Jednakże to wszystko już było zapóźno, jańczary dłużéj nie mogli wstrzymać powszechnego ataku, a wielki wezyr poznał, że ostatnia godzina zguby wybiła.

Huk dział i ręcznéj broni trząsł niemal całą ziemią, a zaciemnione niebo od kłębów prochowego dymu zarumieniło krwawą łuną cały hory-

zont nieba. Śmierć, zniszczenie, zionęły dokoła; okrzyk zwycięztwa polskich hufców brzmiał jak grobowa pieśń nad umarłemi, i w téj chwili wojska otomańskie zaczęły pierzchać w rozsypkę.

Nie słuchano rozkazów, każdy uciekał, unosząc to wszystko, co mógł zabrać z sobą, zostawując resztę na pastwę nieprzyjaciela. Ani zatknięta przed namiotem wielkiego wezyra chorągiew proroka, ani groźby i obietnice, nie mogły zatrzymać postrachem zdjętych hufców, każdy zajęty był sobą, myśląc jedynie o swem ocaleniu.

Gorzkie łzy wycisnęły się z oczu Kara Mustafy i choć widział, że już wszystko stracone na zawsze, jednak postanowił nie ustąpić jeszcze, dopóki nie zabezpieczy najdroższéj mu odaliski Zelimy.

Zapomniał już o skarbach, rozkazał brać co woła każdemu, aby tylko bronili jego osoby i nie odstąpili go w tak stanowczéj chwili. Przyrzekał wszystko, co tylko człowiek w stanowczéj godzinie swego upadku przyrzekać może, rozpacz jego doszła już granic ostatniego kresu, a w miejsce odwagi, ogarnęła go trwoga i bojaźń. A gdy nadbiegł han tatarski, naciskany przez uciekających, zawołał do niego Kara Mustafa:

— I ty mnie już odbiegasz jako zdrajca?

Na to odrzekł Selim Girej:

— Król jest z nimi, mówiłem, że przeciw niemu nie można działać. Spojrz Wezyrze na niebo, a ujrzysz, ażali Bóg nie jest przeciw nam!

Chwile były policzone, bo tuż polscy husarze na czele bohaterskiego króla słali w około

siebie trupem resztki odważnych muzułmanów, jeszcze poświęcających się zgubionéj swego władcy sprawie.

Pieśń Boga Rodzicy, jak potok rozpalonéj lawy, przenikała słuch otomanów, a gdy majestatyczną postać Króla ujrzał zdaleka wielki Wezyr, razem z tém odbiegła go teraz cała odwaga.

Widząc swą zgubę, z zimną krwią patrzył, jak na jego rozkaz mordowano bezbronne dzieci.*) jeńców i cudnéj piękności odaliski, z obawy, aby nie dostały się w ręce zwycięzców. Ale sam zabezpieczył już przy swym boku Zelimę, która siedziała na dzielnym, arabskim koniu, a jego cugle wezyr trzymał w swym ręku. Tuż przy nim, na drugim koniu, czekała rozkazu wierna murzynka, niewolnica, nieodstępna powiernica Zelimy.

Już mignęły polskie proporce, okrzyk wojenny „górą nasi, śmierć wam, muzułmanie!“ z pomięszaném echem huku dział, szczękiem szabli i świstem kul, przelatywał jak okropny uragan po piaszczystych Arabii stepach. Wysadzone w powietrze ukryte miny prochu, wulkanicznym swym wybuchem pomnażały większą okropnością tę nadzwyczajną walkę, zagrażając obudwu stronom okropną śmiercią.

Ale słowa nieustraszonego Jana III., „za mną bracia, naprzód w imię Boga, nasza wygrana!“

*) Książę Kantymir w swéj historyi liczy samych dzieci zamordowanych trzydzieści tysięcy.

dodawały odwagi każdemu i na oślep z rozpaczną odwagą szło wojsko, nie pomnąc na ukryte nieprzyjaciół zasadzki.

Te wszystkie słowa, niezrozumiane od wielkiego wezyra, ani od innych, przy nim znajdujących się, przenikały duszę Żelimy, a jéj myśl, w téj chwili wzniesiona do Boga, słała korne modły o zwycięztwo chrześcian.

Kara Mustafa, widząc coraz większe niebezpieczeństwo, wydał kilku wiernym mu paszom rozkaz, aby z garstką pozostałych żołnierzy zasłaniali jego odwrót, a sam ruszył za uciekającém w nieładzie swojem wojskiem.

Jeszcze nie przebył rozrzuconych namiotów, przeszkadzających mu w ucieczce, a już wojsko polskie było w środku obozu i kiedy jedni byli zajęci zdobyczą, inni śmiało gonili za uciekającym nieprzyjacielem.

Hufiec husarzy królewicza Aleksandra pędził w galopie przez połamane namioty, a kiedy już wydostał się na gładką równinę, biegł w pogoń za uciekającym z nieliczną garstką wezyrem.

Dym, zalegający w około, zaledwo z blizka dozwalał rozpoznać przedmioty i każdy na oślep pędził w stronę, gdzie tentent końskich kopyt rozlegał się smętnem echem po równinie. Wród tego dymu i kurzu coraz wyraźniejszy rozgłos dochodził ich uszu, a z własnem wycieńczeniem podwajali biegu znurzonych rumaków, aby doścignąć ratującego się szybką ucieczką wezyra.

Niezadługo zdala mignęły turbany, a w piersiach hussarzy żywiéj zakołatały serca, bo w tym

uciekającym, nielicznym hufcu, była cała świta obok Kara Mustafy.

Już na strzał dobiegli ich, gradem kul zmieszali spłoszoną garstkę i kiedy Turcy swoim zwyczajem w nieładzie zaczęli się rozpierzchać pojedyńczo, jeden z pośród goniących zwycięzców usłyszał krzyk: ratujcie mnie, bracia!.. i na oślep pędził w to miejsce bez stracenia chwili czasu.

Z odwiedzionym pistoletom w jednéj i z szablą w drugiéj ręce, puścił wodze swojemu koniowi, który, jakby zgadywał myśli pana, chyżéj i coraz chyżéj sadził szczupaki. Ale w miejscu, zkąd tak przenikliwy krzyk odbił się o jego uszy, leżał tylko rozciągnięty na równinie piękny arabski wierzchowiec, z damskiem siodłem na grzbiecie, a rycerz, gdy to spostrzegł, tem szybciéj pędził w stronę, zkąd dolatywał go tentent galopem pędzących jeźdźców. Tchu omal nie stawało mu w piersiach, a jeszcze bodł ostrogami konia, zmuszając go do prędszego biegu. I dognał zdobyczy, bo już rozeznał kilkunastu jeźdźców tureckich, pomiędzy którymi jeden trzymał na swoim ręku omdlałego, lub też śmiertelnie ranionego towarzysza. Ale gdy zbliżył się daléj i swój wzrok wytężył w tę stronę, poznał, że tym unoszonym jeźdzcem była kobieta, któréj głos obudził w nim taki zapał, w celu uwolnienia jéj z ręki barbarzyńców.

Była to Zelima, unoszona przez samego wezyra, pod którą gdy padł koń, śmiertelnym ciosem ugodzony, on sam, objąwszy w pół jéj

kibić, unosił skarb swego serca, aby taka zdobycz nie dostała się w ręce zwycięzców.

W pospiechu jazdy turban spadł z jéj głowy, a pierścienie kruczych włosów igrały z wiatrem w zawody. Zemdlona dziewica, już przez samo nagłe spadnięcie pozbawiona czucia, spoczywała bezwładnie na rękach swojego pana i władzcy, a zaledwo słaby oddech i lekkie bicie zbolałego serca dawało poznać, że jeszcze przy życiu zostaje.

W takiem położeniu wezyr postanowił na chwilę zatrzymać się, przywrócić przytomność omdlałéj i dopiero daléj chciał dążyć za uciekającem wojskiem.

Zahamował rozpędzonego w biegu rumaka, a kiedy był zajęty cuceniem omdlałéj i wydawał rozkazy otaczającym go, w téj chwili dobiegł jeździec polski.

Księżyc po chwilowem poprzedniem zaćmieniu oświecał w pełnym blasku całą równinę i tylko jak daleki grzmot podziemny dochodził uszu tentent uciekającéj jazdy tureckiéj.

Rycerz polski nagłym napadem postanowił odbić unoszoną zdobycz i śmiałem natarciem przestraszyć małą garstkę około wielkiego wezyra zebraną. Ale on nie wiedział o tém, iż pomiędzy niemi znajduje się sam dowódzca całéj otomańskiéj potęgi i że otaczający go gotowi byli życie swe poświęcić w jego obronie.

Młodość, zapał jakiem był przejęty w niesieniu obrony na wezwanie ratunku, wreszcie powzięte przekonanie, że tą osobą jest kobieta,

unoszona przemocą, nie dozwoliły mu z zimną krwią zastanowić się bliżéj nad następstwami wyniknąć ztąd mogącemi. Wreszcie będąc śmiały i odważny, liczył także i na przerażenie, jakie nagłym napadem sprawi na uciekających w popłochu, i dla tego postanowił natychmiast uderzyć, na unoszoną brankę, a dopiero z tą zdobyczą powrócić do swoich. Miał przytém i to na uwadze, iż towarzysze jego również nieopodal być muszą, i że za danym wystrzałem nieomieszkają pospieszyć w miejsce potyczki.

Te wszystkie uwagi zrodziły się lotem błyskawicy w umyśle młodzieńca, a pokładając ufność w Bogu i w sprawie, za jaką poświęcał się, pewnym był nieomylnego zwycięztwa.

Usta jego szeptały cichą modlitwę do Boga Rodzicy, a na piersiach spoczywające relikwie, miały go bronić w każdem zdarzeniu. Wiara ta była w nim tak wielką, że w téj chwili gotów był uderzyć na liczniejszą jeszcze siłę, z pewném zaufaniem w zwycięztwo.

Bo téż wielka była zarozumiałość każdego polskiego rycerza, a gdy dostrzegli z takim popłochem w nieładzie uciekających Turków, nie uważali na liczbę, mniemając, że przytomność umysłów i przekonanie o pewném zwycięztwie, poda im w ręce wszystkich Otomanów, zwłaszcza, iż wielu z nich na sam widok polskiego rycerza, rzucali broń, oddając się dobrowolnie w niewolę.

Rycerz, o którym tu mowa, pierwszy raz w życiu swojem, był w boju z Turkami, a widząc zewsząd ich przerażenie i haniebną z placu

boju ucieczkę, śmiało liczył na swą zręczność w robieniu bronią, bynajmniéj nie zważając na liczbę zdjętych postrachem.

W takiem to usposobieniu młody wojownik dobiegł wielkiego wezyra, tém więcéj straszniejszego teraz, że ofiarą własnego życia gotów był bronić unoszonego skarbu, aby nie oddać go w ręce zwycięzcy. Tentent w najhyższym biegu galopującego konia, nie zwrócił uwagi garstki zebranych w około Kara Mustafy towarzyszy, bo sądzili, że należy do ich szczupłego orszaku; ale nagły wystrzał z pistoletu i okrzyk za mną bracia!... zwrócił ich uwagę, a obok przerażenia, jakie ztąd nastąpiło, każdy błysnął gołym jataganem, postanowiwszy drogo sprzedać swe życie.

Rycerz z dobytym orężem rzucił się w przemagającą liczbę i rozpoczął nierówną walkę w nadziei, że Turcy mniemając, iż nadbiega za nim pomoc, przestraszeni porzucą swą ofiarę, a sami spieszną ucieczką ratować się będą. Jednak gdy ujrzał zwrócone ku sobie jatagany i tak śmiało stawiony opór, postanowił zwyciężyć lub zginąć. Już zadał kilka ciosów nacierającym bliżéj niego, już zmierzył okiem samego Wezyra, przy którym na murawie bezwładnie złożona była Zelima, i teraz tém więcéj natężył siły, a zadając ciosy prawdziwą damascenką, ciągle wydawał okrzyk: za mną bracia!

W chwili téj nie równéj walki i starcia się na gołe miecze, rumak stanął jak wryty, a bystry słuch doświadczonych Turków, zapewnił ich że tylko z jednym rycerzem mają rozprawę, bo

zamiast tententu koni, tylko szczęk krzyżujących się szabel roznosiło echo po równinie. Takie przekonanie obudziło w nich tém większą odwagę, a skupiwszy się wszyscy, zamierzyli wspólną siłą pokonać tak śmiałego rycerza.

Młody wojownik mógł jeszcze ratować się ucieczką, bo Turcy byli pieszo, a ich znużone konie trzymali nieco opodal niewolnicy; ale podobna myśl daleką była od niego, sądził bowiem że odwagą zyska przeważne zwycięztwo.

Taka nie równa walka trwała już kilka minut; Turcy z coraz większą śmiałością stawiali czoło nieustraszonemu rycerzowi, lecz w téj chwili jeden z nich postanowił przyspieszyć koniec tak nierównego boju i z zręcznością wszystkim wschodnim narodom właściwą, podsunąwszy się z boku, trafnem pchnięciem kindżała, śmiertelnym ciosem ugodził szlachetne zwierzę, mogące jeszcze ocalić swojego pana. Zachwiał się rumak, padł pod rycerzem, ale on niemal cudem zręczności uniknął upadku i pieszo stanął znów w nowe zapasy.

Nadludzka ta odwaga obudziła niejakie współczucie, a raczéj chęć, iżby pojąć mogli w niewolę tak śmiałego rycerza, tém bardziéj, że sądzili go być przywódzcą ścigającego ich oddziału. Dla tego to jeden z walczących zawołał:

— Wstrzymaj się na chwilę rycerzu, możemy się porozumieć wzajemnie, zwłaszcza, iż jesteś sam jeden przeciw dziesięciu!

— Poddajcie się, bo sam król tuż spieszy

za mną... — odrzekł rycerz nie przestawając walki.

Słowa te upewniły tém więcéj Turków i samego Wezyra, że ich przeciwnik musi być wielkiéj godności i postanowili tém bardziéj ochraniać jego życie, aby następnie mógł im posłużyć w ich widokach i udzielić bliższe szczegóły o całéj potędze sprzymierzonego wojska.

Pomimo, że młody wojownik odniósł kilka ran, jednak na kilkakrotne wezwanie nie złożył broni, i postanowił raczéj zginąć w téj nierównéj walce, niż poddać się w niewolę. Chociaż siła przeciw niemu walczących nader przemagająca była i w każdym razie łatwo było odgadnąć, że musi uledz; jednakowoż względność jaką dlań zachowywali przeciwnicy, miała tę korzyść dla niego, że postanowili uczynić go bezbronnym. Tą myślą jednozgodnie wiedzeni, starali się powtarzanemi cięciami wytrącić mu oręż, a wtenczas opanować go przemocą fizyczną.

Ale młodzieniec obok odwagi zarówno i niepośledniéj był siły, a rękojeść szabli zdawało się, że wzrosła mu w dłoń, tak bowiem silnie ją dzierżył, odbierając wszystkie cięcia zwróconych przeciw sobie jataganów.

Siła młodzieńca podoływała dotąd tak nierównéj walce, jednakże damasceńska szabla nie mogła dłużéj znieść cięć hartownych jataganów, i klinga jéj przy saméj rękojeści odciętą została. W téj chwili rycerz jakby piorunem rażony, nie wiedział co począć, zwłaszcza, że przeciwnicy

natychmiast zaniechali walki i jeszcze raz wezwali go do poddania się.

Jednakże rycerz nie chciał słuchać tych wzywań i oświadczył, iż śmiercią walecznych woli zginąć, niż poddać swe ręce w pęta niewoli.

Kara Mustafa słyszący tę śmiałą mowę i podziwiając tak bezprzykładną odwagę, rozkazał złożyć broń walczącym i sam postąpił bliżéj niego.

— Młodzieńcze, — przemówił łagodnie, — ja wielki wezyr wzywam cię, abyś poddał się mnie, a na brodę proroka przysięgam, że jeden włos nie spadnie ci z głowy, ani nie doznasz hańby, jakiéj spodziewasz się uledz. Takich jak ty walecznych i Turcy szanować umieją, a odtąd będziesz miał we mnie pierwszego obrońcę.

W chwili tej rozmowy, Zelima odzyskała utracone zmysły, i poznawszy swojego ziomka, rzuciła się do nóg wezyra, prosząc, aby udarował go wolnością.

Rycerz słysząc jéj prośby w tureckim języku ponawiane, zdumiał się nie pomału, że niewiasta nie jest Polką, za jaką wziął ją w czasie pogoni, gdy dobiegły go wyraźne słowa ojczystą mową powtarzane. Jednakże wahając się jeszcze stał w niemem milczeniu rzucając przenikliwe spojrzenie na piękną odaliskę w kornéj postawie klęczącą.

Wezyr nieco wzruszony czułą prośbą Zelimy odwrócił się powtórnie do rycerza, zapytując go z dobrocią o nazwisko i stopień.

— Michał Odrowąż.

Zaledwo wymówił swe nazwisko, Zelima wydawszy okrzyk największego podziwu i radości rzuciła się w jego objęcia, a z jéj piersi wydarły się mimowolne słowa w polskim języku:

— Bracie!... najdroższy mój bracie: ciebież to istotnie oglądam przed sobą?

Kara Mustafa nie rozumiejąc téj mowy, w jednéj chwili uniósł się okropnym gniewem na widok swéj odaliski w objęciach polskiego rycerza. Raz bladość to znów rumieniec wystąpił na jego zmarszczone lica, i w tem uniesieniu podniósłszy szeroki jatagan, obojgu postanowił zadać cios śmiertelny. Ale w téj saméj chwili Odrowąż wypuściwszy z objęć swą siostrę i zdejmując hełm z głowy, ukląkł na ziemi a wznosząc ręce do nieba, wśród łez biegnących po licach, mówił z uniesieniem w tureckim języku, aby w tem większe w swych nieprzyjaciołach obudzić wrażenie.

— Boże! cudowny Boże!... jakże są niezbadane i niepojęte wszechmocne wyroki Twoje. Tóż ziściłeś dziś moje chęci, abym po tylu latach ujrzał mą siostrę, by wspólnie z nią podzielać niewolę!

Marya, którą odtąd właściwem jej imieniem zwać będziem, klęcząc obok niego szeptala cichą, łzami przerywaną modlitwę, a chwila ta była tak majestatyczną, że zdumiony wielki wezyr, teraz wstydził się sam przed sobą zbytniéj porywczości.

I on niewierny, chrześciaństwa zawzięty

wróg, ujrzał w sobie popęd litości, bo i on był ojcem dwóch synów, z któremi pożegnawszy się przed ucieczką nie wiedział ażali jeszcze żyją w téj chwili.

Na ten widok dwojga klęczącego rodzeństwa, cudem prawie po tylu latach niewidzenia w tem miejscu znajdującego się, niemal wszyscy muzułmanie doznali wzruszenia, poczytując to za zrządzenie wyroków.

Kara Mustafa długo stał w milczeniu, patrząc z niejakiem rozrzewnieniem na tak zajmujący obraz. I on przypomniał sobie lata swéj młodości, rodziców, braci i siostry, a jego serce rzadkie przystępom litości, na ten raz obudziło w nim współczucie. Z takiem wewnętrznem usposobieniem, przystąpił do młodych Odrowążów, i podając im obie ręce, wyrzekł z całą łagodnością człowieka, umiejącego czuć cierpienia bliźnich.

Powstańcie moje dzieci, miejcie we mnie zupełną ufność, a ja starać się będę zastąpić wam miejsce rodziców!

I tuląc ich oboje do swojego łona, pocieszał dobrotliwemi słowy, że nigdy nie zawiodą się na nim.

Niedługo orszak wezyra puścił się w dalszą drogę, i znów ponura cisza zaległa całą równinę.

## XII.

Wracały zwycięzkie wojska z pod Wiednia okryte sławą, że uwolniły Austryą z pod ciężkiego jarzma Turków, ale oprócz tej sławy, żadnéj korzyści nie odniosły.

Zdobycie Wołoch i Multan znikło z wyobraźni wielkiego bohatera Jana III i teraz, kiedy już było zapóźno, poznał Sobieski jak ziściły się owe obietnice, tak chojnie mu zapewniane. Oswobodzona Austrya wróciła do poprzedniéj dumy, a niepotrzebując na teraz usług swego sprzymierzeńca, nawet należną wdzięcznością nie odpłaciła się za trudy, w jej osobistéj sprawie podjęte.

Pułki te wycieńczone bitwą, trudami, przerzedzone znacznie przez krwawą dysenteryą w całym obozie panującą, pod któréj zajadłością, padło tyle ofiar na polu bitwy oszczędzonych, wśród zniechęcenia wracały do ojczystych progów. Na twarzach walecznych żołnierzy malowało się znużenie i ów głód nie raz tak dotkliwie dający się uczuć z powodu, że Austrya odmówiła zapasów żywności swym wybawcom. Takie prze-

ciwne postępowanie, oburzało walecznych rycerzy, i nieraz w uniesieniu wywoływało złorzeczenia, nie przepuszczając nawet i samemu królowi, za to, że dał się wciągnąć do wojny, i potem sam swym własnym siłom był zostawiony.

Konie długą podróżą znużone, wycieńczone z braku paszy na siłach, zaledwo leniwym krokiem zdolne były wrócić w ojczyste swych panów zagrody, a wielu żołnierzy utraciwszy swe wierne rumaki, odarci, ciągnęli w rodzinne strony.

Przy takich następstwach wojsko przejęte największem niezkontentowaniem, miotało tysiące obelg przeciw tym, dla których niosąc bohatérską obronę, narażało się na wszystkie klęski choroby i głodu.

Sam król zniechęcony udał się do Jaworowa by przy uściskach swéj Marysienki mającéj nieograniczoną nad jego umysłem władzę; zapomnieć tych trudów i niewygód, na jakie tak długo był narażony.

Ale i tu skołatany wiekiem bohatér, nie znalazł téj upragnionéj, słodkiéj domowéj spokojności, bo królowa wywierając na wszystko nieograniczony swój wpływ, nie jednego zmartwienia była mu przyczyną, zwłaszcza, iż bez jego woli i wiedzy prowadziła tajemne z dworem francuzkim układy, znów, że wakujące urzęda chciała rozdawać takim osobom, które więcéj zasłużonym rozdać należało.

Takiemi rozterkami domową spokojność zakłócającemi, król do tego stopnia był zniechę-

cony, iż nieraz gorzko nad swem położeniem ubolewał. Ale Marya Kazimiera umyślnie zewsząd trapiła go, aby wszystko mogło pójść po jej woli, a podniecając różne niechętne stronnictwa, miała na celu, iżby tem silniéj mogła działać na ulegającego jéj zawsze małżonka.

Ci wszyscy, którzy spodziewali się otrzymać jakieś względy za pośrednictwem królowéj, cisnęli się do pięknego Jaworowskiego zamku, całą świetnością otoczonego teraz, inni zaś spieszyli w ciche domowe ustronia, by tam na łonie rodziny odetchnąć.

Różnemi więc traktami i w różne strony kraju wracali z wiedeńskiéj wyprawy wojownicy, najczęściéj z rozżalonem sercem, za doznaną niewdzięczność i wszędzie można było usłyszeć rozmaite skargi wydobywające się z piersi zniechęconych rycerzy.

Drogą wiodącą do Warszawy zdążali dwaj wojownicy, a obok nich jechał murzyn po turecku ubrany. Na sukniach grubym pyłem okrytych, nadewszystko po znużeniu malującem się na twarzach, widno było z jak dalekiéj wracają drogi.

Ich konie prawdziwie arabskiéj rasy i bogate siedzenia mogły obudzać wielki podziw, lecz najwięcéj ciekawych przyglądało się owemu w tureckim ubraniu murzynowi, którego nie jeden sądził być jeńcem, w wiedeńskiéj wyprawie zabranym.

Już słońce miało się ku zachodowi, kiedy nasi podróżni wjeżdżali na przedmieście War-

szawy, a za niemi biegł tłum chłopców ulicznych przypatrując się natrętnie rysom twarzy murzyna. Jednakże owi trzej jeźdzcy patrzyli z obojętnością na tę niewczesną ciekawość, bo w ich duszach wrzały inne w téj chwili uczucia.

Rycerz jadący po lewéj stronie pokręcał niekiedy wąs zawiesisty i zwracał częste spojrzenia na swego towarzysza, którego twarz pełna młodości i wdzięku jaśniała niezwykłym urokiem.

Lubo nie prowadzili żadnéj pomiędzy sobą rozmowy, jednak spojrzenia ich rozumiały się z sobą i obadwaj zajęci byli myślą, aby co prędzéj stanąć u kresu podróży.

Murzyn zwracał na nich bielejące swe oczy, które dziwny sprawiały efekt przy czarnéj lśniącéj twarzy i ciemnéj źrenicy, a choć natrętni ciekawcy niemal nie dali mu spokojności, on jednak z powagą siedział na swym pięknym wierzchowcu rzucając na otaczających go pogardliwe spojrzenia.

Przyjechali do miasta, minęli krakowską bramę, i przez małą krętą uliczkę zawrócili po nad brzeg Wisły. Twarze dwóch rycerzy okrasił rumieniec, serce mocniéj zakołatało w piersiach, a kiedy stanęli przed pochyłonym drewnianym dworkiem, spojrzeli trwożnie na siebie, bo zdawało się im, że tam nie mieszkała już żadna istota.

Rycerz starszy wiekiem poskoczywszy pierwéj, roztworzył podwoje sieni, wbiegł żywo do izby i w jednéj chwili był u nóg podeszłéj wie-

kiem matrony, to jest ten, którego za straconego już miała.

— Matko droga!.. synu kochany!.. — te przerywane uściskami dolatywały słowa, a podczas tej rzewnéj sceny drugi rycerz młodzian stał w niemem milczeniu. Z oczu dużemi kroplami spływały mu łzy; na jego twarzy raz bladość, to znów żywy wytryskał rumieniec, a drżące usta i ręce świadczyły jakiego w téj chwili doznawał wzruszenia.

Ale uczucie natury przemogło wszystko, — w jednéj chwili i on rzucił się do nóg poważnéj niewiaście, a całując jéj ręce mówił przytłumionym głosem:

— Matko!.. droga matko!.. poznaj córkę niemal z tam tego świata wracającą do ciebie.

— Czyżbyś to ty była Maryo?... kochane dziecię?... o Boże pozwoliłżeś doczekać mi tego?

— To ja, ta sama twoja córka, którą okrywa zbroja rycerza, a on — wskazując na brata — jest moim zbawcą!

— Maryo!.. Michale!.. — z kolei powtarzała rozrzewniona kobieta, słów zabrakło w jéj mowie, tylko jedynie przyciskała ich do zbolałéj piersi, tylu cierpieniami znękanéj.

Michał i Marya klęczeli u jéj nóg a obraz ten tak religijny przedstawiał wzniosły urok godny pędzla Rafaela.

I murzyn choć nie rozumiejący słów wymówionych ukląkł na środku izby, zasyłając modły do władzcy wszech świata, bo i on miał serce umiejące czuć takie wrażenia. Po czarnem lśnią-

cem obliczu spływały mu krople czystych jak kryształ łez, które ta rzewna scena z głębi jego duszy wywołała.

Niedługo potem wyjaśniło się wszystko, a i murzyn był uczestnikiem dziękczynień niewiasty, przyciskała go do serca, zwłaszcza iż tym murzynem była Artima, niegdyś serajewska niewolnica Maryi.

Kiedy minęły te pierwsze wrażenia, i gdy Marya szczegółowo opowiedziała swą niedolę oraz wyswobodzenie, które winna jest Bogu a potem bratu; Michał niecierpliwy był dowiedzieć się o swoim dobroczyńcy. Zapytał się przeto czy żyje jeszcze czcigodny kapłan.

— Umarł na drugi dzień po twym odjeździe... — rzekła roztkliwiona matrona, bo tyle radości w jednym dniu doznanéj, zupełnie rozrzewniły jéj duszę.

— Umarł!.. — powolnym głosem powtórzył młodzian i załamawszy ręce, słał cichą modlitwę do Boga.

Łzy strumieniem pobiegły mu z oczu, a on całą siłą duszy powściągając w sobie najtkliwsze wzruszenia, w końcu musiał uledz tłumionéj boleści i słowa rozpaczy wydobywały się z uciśnionych piersi rycerza.

Marya razem z matką tkliwemi pieszczoty starała się ukoić ten smutek, ale czułéj duszy nie tak łatwo było nakazać milczenie.

— O Boże!.. więc już sam zostałem!.. więc już sam jeden zostałem!.. ach czemuż dożyłem tak smutnéj godziny, czemuż mojemi rękami nie

zamknąłem mu powiek, płacąc tem choć w części dług zaciągnięty! On mnie wychował, on zastępował mi ojca, on ukształcił mnie na człowieka!...

Tak wśród łkania wyrzekł młodzian, nie przyjmując pieszczot swéj szczupłéj rodziny, która tkliwemi słowy starała się ukoić tę boleść.

— Bracie, drogi mój bracie, — rzekła piękna Marya ocierając mu delikatną rączką płynące łzy — wszakże jesteś rycerzem, okaż swą męzką duszę, i znieś z stałością ten cios, jakim podobało się Bogu zranić twe czułe serce. Wszak masz jeszcze matkę i siostrę, które ostatek życia poświęcą dla ciebie, aby osłodzić gorzkie chwile twojego żywota. Ja pracować będę na ciebie, czuwając, aby żadna chmura smutku nie zasępiła czoła zbawcy!

I tkliwa dziewica złożyła na jego usta bratni pocałunek.

— O! przeminie to, — odrzekł młodzian, — jak tyle burz, co przeminęły w mem życiu! Prawda... jestem mężczyzną, o was powinienem teraz pamiętać, na wasze usługi poświęcać to życie, które los wojny oszczędził. Chciałem poledz w przemagającéj walce z nieprzyjacielem mej wiary, ale Najwyższy inne przeznaczył mi posłannictwo, dozwalając ciebie Maryo oswobodzić z niewoli. Odtąd też życie moje do ciebie należeć powinno, bo w tej tak ważnéj wówczas chwili, przysiągłem sobie zachowywać je na twą obronę! Tak siostro, już uspokoiłem się znów, znów jestem tym samym, jak wtenczas, kiedy z pogardą urągałem śmierci, w lada chwili mogąc

być ugodzony śmiertelnym ciosem! Życie moje, należy wyłącznie do was... bo wy szczupłą mą rodzinę składacie!...

Schylona wiekiem matka, z rzewnem rozczuleniem patrzała na ten rodzinny uczuciowy obraz, lecz w téj saméj chwili toczyła z sobą jakąś niezwykłą walkę, a wzrok jéj niemal obłąkanie wyrażał. Usta zdawały się, że chcą mówić, ale słowa konały na nich, pierś zaniemiała, i jakieś konwulsyjne drganie przebiegało rysy zmarszczkami pooranéj twarzy.

Michał i Marya jedynie sobą byli zajęci, ztąd téż uszły ich uwagi owe wrażenia tak widocznie na jéj twarzy malujące się, i dopiero gdy nie mogąc dłużéj znieść téj wewnętrznéj walki, upadła zemdlona, oni a oboje pobiegli dla niesienia ratunku.

Scena tak nagła, niespodziewana dreszczem przejęła wszystkich, tem bardziéj, iż natychmiastowa pomoc nie odnosiła skutku. Marya i Michał tracili zmysły nie wiedząc jak sobie począć w tém smutnem zdarzeniu, jedna tylko murzynka z całą zimną krwią przedsiębrała środki ratunku, i skutkiem jéj staranności, blizko wpół godziny objawiły się oznaki życia.

Już była północ, a jeszcze żaden z nich nie myślał o spoczynku; Marya razem z Artimą czuwały przy łożu matki, a Michał złamany smutkiem stał w oddaleniu pogrążony w żalu.

— Michale! — po niejakim czasie przemówiła chora niewiasta, — przebaczysz mi wszystko złe, które uczyniłam tobie?

Młodzian przystąpił bliżéj, a myśląc, że słuch go omylił lub też gorączka działa na zmysły matki, litośnie spoglądał na jéj stan niemocy.

— Michale! nie, nie myśl, iż jestem obłąkaną... nie patrz tak przenikliwie, bo twój wzrok zabije mnie! Daruj mi, przebacz jeszcze raz, zaklinam cię w imię Boga, w imię popiołów twojego ojca!.. Ale moje usta nie mogą wypowiedzieć, one związane są przysięgą!.. Lecz odczytaj to pismo, które powierzył ci umierający kapłan, a nie złoczecz mi... kochaj biedną Maryą, bądź dla niéj bratem, ojcem... wszystkiem na tym świecie, bo ona tylko w tobie mieć będzie obrońcę! Idź do twego pokoju czytaj... i przyjdź jeszcze do mnie powiedzieć, że mi przebaczasz... abym mogła umrzeć spokojnie!

Ty Maryo zostań przy mnie te ostatnie chwile, niech wyłącznie poświęcę dla ciebie ukochana córko! Bóg ukarał mnie srogo, ale przynajmniéj w ostatniéj chwili odpuszcza, kiedy dozwolił ujrzeć cię jeszcze przed śmiercią!

Zdziwiony tą mową rycerz, oddalił się do drugiéj izby a zapaliwszy woskowy stoczek zamknął drzwi i dobył list zaszyty na piersiach. Rozerwał pieczęć, i gdy pismo w nim zawarte, za użyciem wiadomego sposobu stało się wyraźnem odczytał następujące słowa:

Załączonym tu kluczykiem otworzysz tajemny zamek w szkatułce, którą masz odemnie, znajdziesz go łatwo, gdy wyjmiesz ramki zwierciadła, dla pozoru szczelnie na głucho osadzone. Skoro

odczytasz papiery wyłącznie do ciebie należące, dowiesz się wszystkiego, o czem już wolno ci będzie wiedzieć. Zmów pacierz za mą duszę i pomnij, że jedynie dla twego dobra zachowywałem dotąd tajemnicę. Postępuj wszakże z wszelką ostrożnością, bo wiedz o tem, że jesteś pod wpływem niewidzialnéj siły, która mogłaby pogrążyć się w bezdenną przepaść.

Wydobyte z ukrycia pismo było w języku włoskim, na pargaminie, a na samym czele poprzedzał tytuł większemi literami:

Pamiętniki z mojego życia.

Urodziłam się w Palermo. Ojciec mój był lekarzem, on, ja i młodsza siostra składaliśmy szczupłą rodzinę, albowiem matka umarła, kiedy zaledwie dziesięć lat liczyłam. Poczciwy nasz ojciec Maria Don Lucio, łożył wszelkie starania, aby nas ukształcić. Ja szczególniéj lubiłam muzykę i malarstwo, siostra przeciwnie nienawidziła tego i dziwnem upodobaniem pragnęła zbadać mozolną tajemnicę sztuki, któréj ojciec poświęcał się z szczególnem zamiłowaniem.

Dwa tak odrębne, objawiające się w nas charaktery, skłoniły ojca, że idąc za popędem swego zdania, zastósował nasze kształcenie do tych chęci i nieraz mówił:

— Ty Izo odziedziczyłaś piękność matki, jéj dobre serce i żywy charakter, a że nie mam odpowiedniego majątku, który mógłby ci zapewnić na przyszłość przyzwoite utrzymanie, ukształcę twój umysł; ciebie zaś Maritto Bóg nie obdarzył urodą, a ponieważ twój umysł pragnie zbadać

tajemnice, którym od tylu lat się poświęcam, przeto usposobię cię, że musisz być bieglejszą jeszcze odemnie.

Wiernie też do tego wszystkie zatrudnienia zastósowanemi były. Podczas gdy ja zajmowałam się muzyką lub malarstwem, siostra pomagała ojcu w przyrządzaniu lekarstw.

Tak biegły nam lata swobodnie, bo piękne niebo Włoch, codzień przyświecało jasnem słońcem, i cała przyroda uśmiechała się życiem ciągłéj młodości.

O Palermo! czemuż opuściłam twe mury, kościoły i ożywcze tchnienie łagodnego powietrza, chyba dla tego, aby jak kwiat uschnąć na obcéj ziemi i potem w proch rozsypać się?

Ojcze pokazałeś się słabym dla twego dziecka wtenczas, gdy z całą mocą należało oprzeć się naleganiom, i zagasić ogień, który zajął się w mem sercu. Ale i ciebie nie mogę obwiniać, bo ty pragnąłeś mojego szczęścia, a oboje zawiedliśmy się boleśnie.

Pomnę ten dzień, gdy w lektyce przyniesiono młodzieńca, dla którego ojciec wyznaczył pokój wychodzący na ogród. Był to syn jedynak wielkiego pana, który z nim przybył aż tutaj, aby go wyrwać z rąk śmierci.

Z ogrodu przez ciemne osłony zapuszczone na szklannych drzwiach ujrzałyśmy młodzieńca spoczywającego bezwładnie na łożu, a twarz jego pokrywała śmiertelna bladość. Zaledwo oddychał tak był osłabiony; przed nim stał 50-letni mężczyzna w sile wieku, lecz posępne czoło malo-

wało boleść, jaka tylko w sercu rodziców spoczywać może.

Rzucał niepewnym wzrokiem na twarz mego ojca, który ująwszy wyschłą rękę młodzieńca, śledził bicie pulsu, a zarazem stan choroby, trudnéj do uleczenia.

— Jakże doktorze, — przemówił z westchnieniem — czy masz jeszcze nadzieję wyrwać z rąk śmierci to dziecko jedynego dziedzica mego imienia i majątku mojéj podpory w starości!

— Użyję całéj nauki, abym ci wrócił co masz najdroższego, bo ja będąc ojcem wiem, jak bolesną jest utrata dziecka, wtenczas, gdy w nim się pokłada całą nadzieję.

Po kilku tygodniach minęło niebezpieczeństwo, przeszła obawa, a ja codziennie podając lekarstwa byłam tajemnym działaczem wlewającym życie, które niedawno miało zagasnąć na zawsze.

Wojewoda, mógł codziennie po kilka godzin przepędzać przy uratowanym synu, a ja odbierałam od niego tysiące podziękowań za troskliwość dla jego jedynaka. Ojciec mój był zadowolony widząc blizkie spokrewnienie się z człowiekiem możnym. Młody wojewodzic robił mi mnóztwo oświadczeń, a ja z dumą słuchałam i dziękowałam Bogu, że mi taki los świetny zgotował. Ale niedługo miała trwać ta radość. Po przyjściu do zdrowia wojewodzica opuścili Palermo, udając się w swe strony i zabrali nas wszystkich ze sobą. Przed samym naszym odjazdem dziwna co do mnie zaszła scena.

Ojca mego przybył odwiedzić Don Ramiro, człowiek wracający z Indyi, był on moim ziomkiem i wtenczas, kiedy dziesięć lat liczyłam pobierał nauki od mego ojca sposobiąc się na lekarza. Ojciec przyjął go z wszelką uprzejmością, wszyscy słuchaliśmy chciwie tych opowiadań, o zwyczajach mało znanych ludach i niebezpieczeństwach, na jakie był narażony.

Poczułam wstręt ku niemu a jego odwiedziny zdawały mi się natręctwem, unikałam go, lecz on ścigał mnie widocznie jak duch szatański.

Przed dzień odjazdu poszłam do ogródka pożegnać moje kwiaty, z któremi po raz ostatni widzieć się miałam. Otarłam skrycie łzy, gdy w tem nagle ujrzałam stojącego przedemną Don Ramiro. Lica moje spłonęły rumieńcem, a on biorąc mię za rękę uprzejmie wyrzekł:

— Więc piękna Iza na zawsze chce Palermo opuścić, a mnie czyż nie będzie żałowała?

— Pana?... przecież nie należysz do naszej rodziny, coby mogło nadać mu prawo do podobnego zapatrywania się.

— Więc pani zapomniałaś swych przyrzeczeń przed pięciu laty? A te włosy dane mi przy odjeździe, które dotąd noszę na piersiach, jak relikwie, nie sąż dowodem, że serca nasze były spojone bliższemi ogniwy, które potem związek małżeński miał umocnić na zawsze?

— Nie przypominam sobie, abym robiła panu podobne przyrzeczenia. Wreszcie wtenczas byłam dzieckiem, dziś zmieniła się cała postać rzeczy.

Wtenczas wyrzekł te słowa jakby proroczym duchem natchnione.

— Wiem o wszystkiem, że pragniesz zostać wielką panią, ale pamiętaj, że przekleństwo moje za twą niewiarę wiecznie cię ścigać będzie! Szczęście za którem uganiasz się zniknie na zawsze, i kiedyś wspomnisz jeszcze moje słowa, kiedy już będzie zapóźno!

Wyszarpnęłam mą rękę z jego dłoni, uciekłam... ukryłam to wszystko w głębi méj duszy. Odtąd nie widziałam go nigdy, ale okropne te słowa niezatartem piętnem w umyśle moim zostały. Nie długo potem stało się zadość moim życzeniom, pożegnałam Włochy, dążąc za losem przeznaczenia, który zgotować miał dla mnie świetną przyszłość.

Skończyła się nasza podróż, przybyliśmy na miejsce, a ten dzień zawsze mi jest obecny w pamięci, bo zdawało się, że wyjeżdżam do jakiego więzienia.

Serce człowieka niekiedy przeczuwa spotkać go mogące nieszczęście, tak i ja nie znając ludzi i świata z przerażeniem spostrzegłam zczerniałe baszty zamku, murem wysokim wałami i zwodzonym mostem opatrzone.

Wzdrygnęłam się na ten widok, co spostrzegłszy wojewoda wytłómaczył nam, że wszyscy możniejsi panowie mieszkają w warownych zamkach, albowiem w kraju mającym niebezpiecznych sąsiadów, każdy musi myśleć o własnem bezpieczeństwie, aby w razie wypadku, siłą odeprzeć siłę.

Nic nie odrzekłam na to, bo smutek ogarniał mą duszę, tęskniłam za pięknem Palermo, za tem błękitnem niebem, co zawsze budzi słodkie wspomnienia!

Uważałam, że wojewoda zasepił czoło, pokręcił wąsa, a z oczu zdawało się, iż migały złowróżbne błyskawice. Ale w téj saméj chwili ukazał się z dala wojenny hufiec, a rozpuszczone proporce błyszczały różnobarwnemi kolorami. Przodem pędził rycerz na karym koniu, bogato ubrany, a na stalowym hełmie powiewały czaple pióra, przymocowane brylantową zapinką. Nie omyliło się me serce, był to Wacław, syn wojewody, który umyślnie wyprzedził nas, aby z należnym hołdem przyjąć upragnionych gości.

Na ten widok rozweseliło się oblicze wojewody, a gdy syn dobytym pałaszem salutował przed nim, on nieco szyderczo uśmiechając się wyrzekł do mnie:

— Czy poznajesz pani tego rycerza?

A gdy z zbytniego pomięszania nie odpowiedziałam zaraz, on w téj chwili dodał:

— Jest to mój syn, cała nadzieja moja, on odrodzić ma szczep domu, sławny tylu czynami swych przodków!

Zabrzmiała wojenna muzyka, wesołe okrzyki odzywały się w powietrzu, a na wałach zamku ryknęły ciężkie działa, witając swojego pana i władzcę.

Wszystkie te oznaki zadowolenia, robiły na mnie przykre wrażenie, bo moje oko i ucho nie nawykło do tych widowisk, to tylko cieszyło

mnie, że widziałam pięknego rycerza, który zajmował me myśli. Jednakże słowa wojewody, w dziwnym tonie poprzednio wymówione, brzmiały ciągle w umyśle jak pogrzebowe echo, i choć na tylu twarzach widziałam radość, przecież smutek ciężył w piersiach moich i zaledwo mogłam stłumić łzy cisnące się do ócz moich.

Na samym ganku przed zamkiem było zgromadzonych wiele pań. Wojewoda witał się z wszystkiemi uprzejmie, a ująwszy mnie za rękę przedstawiał obecnym, lecz nie rozumiejąc polskiego języka, nie wiedziałam co do nich mówił.

Po skończonych przywitaniach wojewoda wraz z synem odprowadził mnie z siostrą do przygotowanych dla nas komnat. Tu ujrzałam dowód szczególnéj troskliwości; kilka panien służących oczekiwało na me skinienia, sypialnia zaś przedstawiała, jakby książęcy gabinet, bo gust i sztuka razem zespolone zachwycały oko łudząc przyjemnie młodzieńczą wyobraźnię.

W zamku znajdowała się kaplica, w któréj kapelan codziennie odprawiał mszą św., sam zaś wojewoda służył do niéj, a my wszyscy byliśmy zawsze obecni.

Niekiedy dawany był koncert, złożony z miejscowéj nadwornéj kapeli, w którym i ja miewałam najczęściéj udział, a wtenczas obsypywano mnie pochwałami, zwłaszcza, gdy przy towarzystwie arfy, czysty mój głos rozlegał się po obszernéj komnacie.

Nie przewidziane wypadki zrodziły wkrótce nad zamkiem chmurę, z któréj wypaść miały

straszliwe na całą Polskę gromy. Wszędzie rozlegał się odgłos, że Szwedzi wkraczają z ogromną siłą, by zrzucić z tronu Jana Kazimierza.

Wszyscy poczęli uzbrajać się, aby być gotowemi do obrony; na zamku panował ruch, ciągle spieszyli wysyłani w różne strony gońcy.

Nastąpiła ponura jednostajność, a serce moje obawą przejęte zostało, gdy dowiedziałam się, iż wojewodzic razem z ojcem na czele hufców, pospieszyć mają przeciw nieprzyjacielowi. Różne dochodziły wieści o zwycięztwie wojsk szwedzkich, a wojewoda ociągal się wyruszyć w pole, pomimo że książe Lubomirski słał gońców do niego, aby przybył z nim się połączyć. Ciągle prowadzone tu były jakieś tajemnicze schadzki, i nieraz w nocy wojewoda przyjmował u siebie oficerów króla szwedzkiego, z którymi prowadził skrycie układy.

Długo byłam w niewiadomości o tem, co się dzieje, gdy jednego dnia wojewoda tajemnie opuścił swój zamek. Tylko syn i kilku domowników wiedzieli o tem, przed wszystkiemi zaś ukrywano to w najgłębszem milczeniu.

Siedziałam w moim pokoju zamyślona, gdy w tem wszedł wojewodzic. Na jego twarzy malowało się wzruszenie, a usiadłszy naprzeciw mnie tak zaczął mówić:

— Piękna Izo, przed nami nie powinno być żadnéj tajemnicy, dla tego też przyszedłem tu, aby wyznać ci wszystko, a od ciebie zależeć będzie, albo spełnienie mych życzeń, lub też po-

grążenie w bezdenną przyszłość, która nie wiem jakie mi losy zgotuje.

— Na Boga, cóż się stało, że tak przemawiasz do mnie! — odrzekłam pomieszana, — twoje wzruszenie przestrasza mnie! Zmiłuj się powiedz wszystko tej, która od dawna oddała ci serce.

— Właśnie po to przyszedłem, ty wydasz wyrok, który będzie mą zgubą lub zbawieniem! O! gdybyś wiedziała, ile cierpię w téj chwili... ale stało się... muszę z mego serca zrzucić ciężar! Nie znasz zamiarów mego ojca, ale odkryję je przed tobą, bo mi honor i miłość dla ciebie nakazują tak uczynić. Wtenczas kiedy miał utracić mnie na zawsze, i kiedy jedynie głęboka nauka twego ojca wydarła mnie śmierci, wtenczas, mówię, gotów był wszystko uczynić, aby zachować ostatniego potomka swojego rodu, w którym pokładał przyszłe nadzieje. Dziś zapomniał już o tém, czas zaciera wrażenia duszy, a wrodzona w nim duma wszystkie uczucia przemogła. Przypadkiem znalazłem w jego gabinecie listy dowodzące, iż przedsięwziął połączyć mnie z możną rodziną. Zgrozą przejęło się me serce na tę myśl, że byłabyś skazaną na wieczne cierpienia, nie chcę przypuszczać, aby ojciec mój miał inne w tem osobiste swe widoki, jednakże już wszystko doszło do kresu, należy pokonać tę przeciwność! Izo, jedno nam tylko pozostaje, połączyć się natychmiast wieczną u stopni ołtarza przysięgą, a ten prawny związek żadna moc w świecie rozerwać nie zdoła. Kapelan naszego zamku,

niegdyś mój nauczyciel, tajemnie przy zaufanych świadkach pobłogosławi nasz związek i tym sposobem zniszczymy wszystko złe, mogące nam kiedyś zagrażać. Mów więc czy zgadzasz się na to, a za godzinę będziesz moją na zawsze!

— Wykonam wszystko według twéj woli — odrzekłam — lecz pomnij Wacławie, abyś kiedy nie żałował tego, co dziś czyste twe uczucia czynić ci nakazały.

— Uchybiasz mi, Izo, gdy tak mówisz... tylko z tobą mogę być szczęśliwym, bo gdyby nie ty, dawno już dusza moja nie byłaby na tym świecie. Ale nie traćmy chwil drogich, są one zbyt krótkie, pójdźmy do twego ojca prosić go o zezwolenie i błogosławieństwo!

* * *

Noc zapadła, tylko żołnierze stojący w około muru na czatach zamieniali miedzy sobą wojenne hasła, a ja z pomocą siostry czyniłam przygotowania do odbyć mającéj się przysięgi.

O pamiętam tę noc, ona była niejako przepowiednią dalszych dni moich, wiatr dął przeraźliwie, okropny wicher zdawało się, że wstrząsa całą podstawę gmachu, wiekom mogącego oprzeć się swą siłą.

Czekałam otulona w futro, gdy w tem przybył mój ojciec w towarzystwie przyszłego swego zięcia, ksiądz czekał już na nas, aby nie obudzić podejrzeń, w kaplicy było ciemno, okna zasłonione, i dopiero za naszem wejściem zapalono na ołtarzu świece.

Cały orszak składał się tylko z mojego ojca, siostry i dwóch świadków dworzan wojewody, którzy obydwaj duszą i ciałem przywiązani byli do Wacława.

Wyrzekliśmy przysięgę, ksiądz stułą związał ręce i znów tak samo z tajemniczą ostrożnością wróciliśmy ztamtąd, jak gdyby nic ważnego nie zaszło.

Trzy dni ubiegły, i na szczęście moje nie wracał wojewoda, a ja najmilszy ten czas w mem życiu spędziłam obok Wacława, obok męża, którego ubóstwiałam na ziemi.

Na czwarty dzień dowiedziałam się, iż wrócił wojewoda, i że wydał rozkaz, aby całe wojsko gotowe było do wymarszu. Okropna boleść zraniła me serce, roniłam gorzkie łzy na tę smutną wiadomość, ale poczciwy mój ojciec tyle swemi uwagami działał na mnie, iż przyrzekłam z poświęceniem zastósować się do wszystkiego.

Późno w noc przybył Wacław pożegnać się ze mną. Uzbroiłam się całą mocą duszy, aby znieść to smutne rozłączenie, ale nie mogłam powstrzymać łez i tłumnego lkania, wydobywającego się z ścieśnionych piersi. Bóg tylko świadkiem, ile ucierpiało me serce, i następnie gdy wojewoda odkrywszy zamiar syna, wybuchnął gwałtownym gniewem. Wszędzie rozsyłał gońców, z nikim nie chciał widywać się, zaledwie kilku zaufanych domowników miało przystęp do niego.

Kilka dni trwał ten niepewny stan rzeczy, gdy nagle wojewoda udał się w pochód na czele swego wojska. Słaba załoga zamku wraz z po-

zostawionym dowódzcą, strzedz miała całości pańskiego mienia i bezpieczeństwa nas wszystkich. ale wkrótce ukazały się wojska wielkiego hetmana koronnego, zawziętego nieprzyjaciela wojewody. W nocy przypuszczono szturm do zamku, a kiedy przemagająca liczba rzuciła się na mury, wówczas uprowadzono nas podziemnemi lochami w nieprzebyte lasy, zkąd ujrzeliśmy lunę obracającą wszystko w perzynę.

Teraz zostaliśmy nawet bez schronienia, a w pospiesznéj ucieczce, zaledwo część pieniędzy i kosztowniejszych rzeczy zdołaliśmy zabrać z sobą.

Dworzanin będący naszym przewodnikiem, doprowadził nas do małego wśród lasu domku, którego właścicielką była wdowa, po poległym z ręki wojewody powierniku mego męża. Ona znała także mą tajemnicę i nieszczęśliwa kobieta z całą szczerością duszy dała nam schronienie.

Wspólne nieszczęście prędko przywięzuje ludzi do siebie; wkrótce też zaszło pomiędzy nami większe zbliżenie się; zwłaszcza iż ona znała dobrze język mego kraju, bo z młodości będąc garderobianą wojewodziny, gdzie były do rozmowy dwie włoszki na ciągłéj rezydencyi, miała sposobność nauczenia się rodzinnéj méj mowy.

Wzajem pocieszałyśmy się i kobietę tę polubiłam prawdziwie, a nawet przywiązałam się do niéj zwłaszcza, iż opiekować się nią miałam obowiązek. Lecz i ja teraz byłam opuszczoną, sroga obawa o Wacława dręczyła mą wyobraźnię.

Teraz zaszło znów ważne w mém życiu zdarzenie; serce moje doznało najżywszéj radości,

bo uczułam, że mam być matką!.... Pragnęłam uwiadomić o tém Wacława, ale wszędzie zalegały szwedzkie wojska, a w koło szerzyła się pożoga wojny.

Kobieta dająca nam schronienie, wkrótce wydała na świat córkę, a my pielęgnowałyśmy ją z starannością. Tak nasz mały domek powiększył się jedną istotą, a niedługo i ja miałam obdarzyć kochanego Wacława.

Nadeszła i ta chwila, a syn mój, któremu dałam imię dziadka, miał kiedyś być pośrednikiem zgody pomiędzy nieubłaganym wojewodą.

Poczciwy kapelan ochrzcił razem dwoje tych dziatek, które niewytłómaczonym pociągiem uśmiechały się do siebie. Polubiłam piękną dziecinę nieszczęśliwéj niewiasty i obydwie młode matki cieszyłyśmy się z tych skarbów naszéj macierzyńskiéj czułości, ja obiecywałam sobie powiedzieć kiedyś do mojego Wacława, wracającego z boju, z laurem sławy na czole: patrz, oto nasz syn; Ale ona biedna kobieta nie mogła tego wyrzec, bo jéj dziecięciu nie było przeznaczone, aby znało swego ojca.

Drogi Boże, niewiedziałam wówczas, że niezadługo, i ja tak samo powiem méj sierocie.

Bohaterski zgon mego Wacława długo tajony przedemną, przestał już być tajemnicą, bo następna okoliczność wyjaśniła mi wszystko.

Ojciec mój, nie powierzając mi swego zamiaru postanowił wyznać wszystko przed wojewodą, pewnym będąc, iż wzruszy się jego serce, i że

przyciśnie do niego jedynego swéj rodziny potomka.

Krew ścina się w żyłach, oddech zamiera w piersiach, kiedy wspomnę tę okropną chwilę, ten cios zabójczy, macierzyńskiemu sercu zadany.

Ojca podejściem zatrzymano, odebrano mu z rąk dowód mego ślubu, a nas niewiasty we śnie pogrążone napadła zbrojna banda, aby wydrzeć dwoje niewinnych dziatek.

* * *

Długa ciężka choroba wyniszczyła żywotne me siły, zaledwo duch kołacze się w piersiach. Zniknęła piękność, zniknęła młodość z méj twarzy, a krucze warkocze włosów posypał szron biały, jak ta zima, która niszczy zieloność!

Z każdym dniem czuję upływ sił moich, a w téj ostatniéj godzinie zemsta pali w mych piersiach; ale Boże, Ty pomścisz się za mnie, za mego syna.

Okropna boleści, któż może opisać cię, pojąć? chyba druga matka, któréjby, jak mnie, wydarli niemowlę od piersi!

— Nie wiem, jak długo dozwoli mi jeszcze niebo pisać te pamiętniki, bo umysł słabnie, i ręka nie zawsze posłuszną jest méj woli.

* * *

Dziś iskra nadziei zaświeciła umierającéj kobiecie. Chciałabym istnieć na świecie, gdyby

zależało to odemnie, bo czcigodny kapłan, mój anioł pocieszyciel, doniósł mi, iż żyje mój syn, a poczciwa kobieta pielęgnuje go wraz ze swoim dzieckiem. O Boże, przecież wzruszyłeś okropne serca, że nie zamordowali niewinną ofiarę, dręczoną niesłusznie za swych rodziców!

Twórco nieba, dodaj mi siły, a o żebranym chlebie chodzić będę od wsi do miasta, aby odszukać biedną sierotę, przycisnąć do wyschłych piersi, potém umrzeć z nią razem, by nie zostawić jej w ręku mścicieli.

Wszechmocny Panie, wysłuchaj prośby matki, na kolanach u stóp Twego tronu błagającej litości!

* * *

Michale! po raz ostatni biorę pióro do ręki, aby cię we wszystkiem objaśnić.

Te pamiętniki ręką twéj matki pisane. Nie dokończyła ich, bo śmierć przecięła pasmo krótkiego żywota. Ja resztę względem ciebie przyrzekłem dopełnić w jej zastępstwie i sądzę, że jako człowiek i kapłan wywiązałem się z danego przyrzeczenia.

Po jéj śmierci w lat kilka odszukałem ciebie, lecz chcąc życie twe na dalsze przeznaczenie zachować, taiłem wszystko wraz z poczciwą kobietą, dotąd za twą matkę uchodzącą. Zasługuje ona na cześć i szacunek, bo nie tylko, że jest żoną człowieka, który poniósł śmierć w twéj sprawie, ale ona sama czyniła z swéj strony

wszystko dla ciebie. Szanuj więc ją, pamiętaj o jéj starości i nie żyw do niéj żadnéj urazy, bo ona nie mogła uchylić zasłony i nie wszystkie też szczegóły wiadomemi jéj były.

Gdybyś zginął pod Wiedniem, cała tajemnica, spoczywająca w mych piersiach, zeszłaby razem ze mną do grobu i dopiero w innem, wiecznem życiu byłbyś się dowiedział, co dotąd dla własnego twego dobra ukrywanem być musiało. Długo zastanawiałem się nad tém, ażali nie lepiéj by było pokryć wszystko grobowem milczeniem, lecz słowo kapłańskie, dane umierającéj kobiécie i przekonanie o mocy charakteru twéj duszy, nakazały mi dopełnić obowiązku bliźniego i bardziéj ta myśl, że twój dziad bezdzietny może choć przy schyłku życia przyzna ci należne prawa i tém nagrodzi błąd zbytniéj dumy, która zagnieździła się w sercu napojonem pychą.

Pomnij więc Michale na moje maksymy: że człowiek taki, co własną zasługą i pracą sobie jedynie wszystko winien, jest ceniony wyżéj od tego, który wypadkiem urodzenia zyskał od razu majątek i znaczenie!

Ty sam własną pracą i słuchaniem rad moich doszedłeś do tego, co umiesz, a jeśli Bóg dozwoli, abyś przy usposobieniu moralnem zyskał i doczesne bogactwa, wiem, że nie zapomnisz, czém byłeś, bo przechodząc wszystkie koleje losu, będziesz umiał czuć ludzką nędzę, widząc w bliźnim brata, człowieka!

Michale! gdy czytać będziesz to pismo, zwłoki moje w zimnym grobie spoczywać będą,

ale czyny, jakich nieraz byłeś skrytym świadkiem, pozostaną wraz z ciałem na ziemi i w pamięci biednych, którym wedle możności świadczyłem. Teraz na ciebie kolej zastąpić mnie starca, a gdy znów połączymy się, aby wiecznie żyć z sobą, wtenczas powiem: rzuciłem ziarno na urodzajną rolę!

Wiesz teraz, co masz czynić; jeśli pragniesz bogactw, próbuj szczęścią z całą rozwagą rozumu, lecz jeśli chcesz przestać na małem, i tak możesz być na świecie szczęśliwym!

Udaj się do Krakowa, tam przy ulicy Grodzkiéj mieszka siostra twéj matki, dotąd przy życiu zostająca, ona wskaże ci resztę, co masz czynić.

Okaż jéj złoty medalik z wizerunkiem Boga Rodzicy, który nosisz na piersiach, jest on jéj darem danem ci przy chrzcie świętym, a potem przedstaw te pamiętniki. Od niéj odbierzesz wizerunek twéj matki, zachowywany w spuściźnie dla ciebie.

Żegnam cię teraz Michale... Bogu polecam opiekę nad tobą, a ty w modłach swoich westchnij choć czasem za grzeszną mą duszą.

Ksiądz Anzelm.

Młodzieniec z religijną czcią ucałował pismo, a ukląkłszy przed wizerunkiem Chrystusa Pana, przy łóżku zawieszonym, słał ciche modły i rzewne łzy zrosiły jego lica.

Uspokoiwszy się z wzruszeń wrócił do pierwszéj izby, gdzie chora niewiasta w głębokim

śnie pogrążona była. Marya wsparta na łóżku, także zasnęła, tylko poczciwa murzynka czuwała nad niemi i położywszy palec na ustach, nakazała rycerzowi milczenie.

— Napój — rzekła do niego — przyrządzony przezemnie sprawi pożądany skutek, a za nadejściem dnia chora zupełnie zdrowie odzyskać musi.

Michał ścisnął ją za rękę na znak wdzięczności, i sam oddalił się napowrót, by pokrzepić utrudzone zmysły, lecz sen uciekał od jego powiek, bo doznane wrażenia pokonały moc natury.

## XIII.

Słońce złotym promieniem znów oświecało ziemię, jego życiodajne oblicze wznosiło się majestatycznie na stropach niebios, i zbudzone ptastwo świegotało jak zwykle.

W tem ustroniu Wisły objawiła się ta sama codzienna jednostajność; flisy krzątali się na statkach, woda pluskała o brzegi, a robotnicy spieszyli do ciężkiéj pracy, stanowiący codzienny ich zarobek.

W małym drewnianym domku przez wdowę po Odrowążu zajmowanym, panowała dziś niezwykła radość. Iskra gasnącego życia, które wprzód zdawało się opuszczać czci godną niewiastę, wzmogła się znów płomieniem; nadzwyczajne szczęście tylko w pierwszej chwili skołatany umysł zabić może, lecz gdy niebezpieczeństwo przeminie, dusza nowego hartu nabiera.

Teraz twarz niewiasty była wypogodzoną, na jéj ustach błyszczał uśmiech zadowolenia,

przyciskała do łona Michała i Maryą, klęczących u nóg swoich.

— Błogosławię wam, — mówiła tkliwym głosem — i zezwalam abyś został Michale mym zięciem, kiedy takie jest twoje postanowienie. Jednakże nie wpierw wasz związek nastąpi, aż gdy siostra twéj matki zgodzi się na to. Do niéj udamy się, a dopiero wtenczas spełnią się te życzenia, które mają nas wszystkich szczęśliwemi uczynić.

Wkrótce ziściły się pragnienia, i w małym Krakowa kościółku na Kleparzu, cicho, bez żadnej okazałości, w obecności jenerała Kątskiego, Michał i Marya przysięgli sobie wiarę małżeńską.

Michał idąc za radą walecznego jenerała, zrzekł się praw swego urodzenia, albowiem na kilka dni przed jego przybyciem, wojewoda umarł w klasztorze w Krakowie, któremu zapisał cały swój majątek. Młodzieniec zaś dowiedziawszy się o tem, wyrzekł z całą szczerością serca: wolę noszone dotąd nazwisko, jak szereg przodków mojego dziada, któremu w imię Boga odpuszczam wszystko złe, wyrządzone mym nieszczęśliwym rodzicom.

Cała tajemnica przez jenerała Kątskiego dostała się do króla. Sobieski wynagradzając szlachetny postępek Odrowąża i waleczność okazaną pod Wiedniem, nadał mu bogate starostwo, zastępując tem krzywdę przez dziada mu wyrządzoną.

Dom starosty Odrowąża słynął z dostatków a biedni nigdy z próżną ręką nie odchodzili z jego progu, włościanie zaś mieli w nim raczej ojca, niż pana, a w sanockim powiecie, gdzie nabył znaczne dobra, nadał im rożne przywileje i ostatnią testamentową wolą podarował wszystkie grunta na własność.

Po jego też śmierci w późnym wieku bezpotomnie zaszłej, poczciwi wieśniacy długo ronili łzy nad zimnym grobem, wynurzając tem swą niewygasłą pamięć.

KONIEC.

454/8/82

200-

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
149699

Biblioteka WSP Kielce
0132279